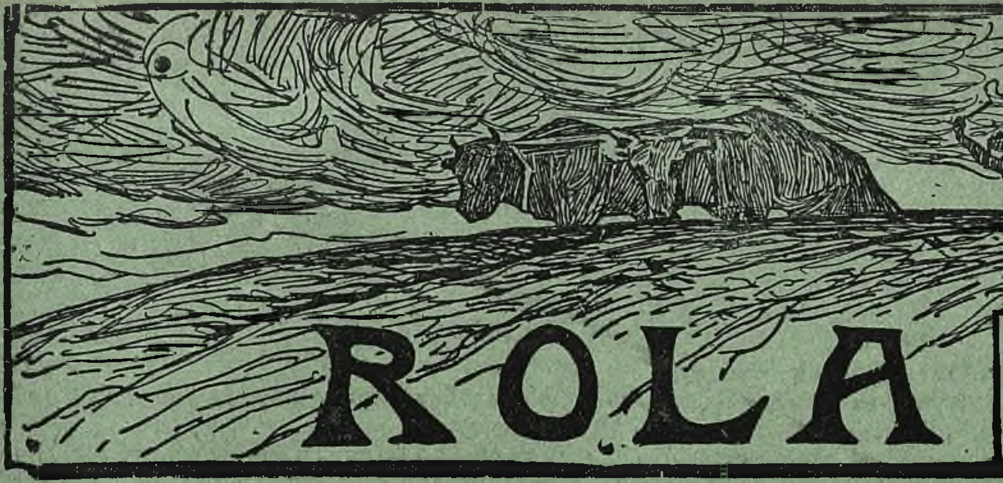
Numer 18. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 1 Maja 1927.



KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr ... nie otrzymałem i swój adres.

Na wsi.

— Maryś! Maryś! dajze gęby!
— Po próżnicy scyzys zęby!
— Dajze gęby tej bestji
— Wsakze nie pies, nie zje ci jej.



Inwalida z Polesia.

Pewien wojenny inwalida z Polesia, pobożny i naiwny, będąc w wielkiej potrzebie, napisał list do Pana Boga, prosząc o datek 100 zł., który zaadresował: „Do najmiłosierniejszego Pana Boga prośba od biednego żołnierza“. I wrzucił list do skrzynki pocztowej.

Na poczcie uśmiano się z listu i odesłano go do Dow. Okr. Korpusu. Tu oficerowie ubawieni naiwnością lecz wzruszeni zaufaniem biednego żołnierza urządzili na prędce składkę, która wyniosła 50 zł., które to pieniądze odesłali biedakowi z dopiskiem na odcinku: „Od Pana Boga“.

Jakież było ich zdumienie, gdy w kilka dni później do D. O. K. przyszedł list następującej treści: „Miłosierny Panie Boże, dziękuję najgoręcej za tak prędkie przysłanie mi pieniędzy. Ale na przyszłość proszę Cię, miłosierny Boże, abyś nie przysyłał mi pieniędzy przez D. O. K., bo ci złodzieje oficerowie zatrzymali sobie 50 złotych!“

Brat czy nie brat.

Gospodyni: Co, ten żołnierz to brat Kasi? Nigdy mi Kasia nie mówiła, że ma brata.

Kasia: Nie mogłam, znam go przecież dopiero od trzech dni.



Zagadał go...

Gość: Tego doprawdy zawiele! Aż dwie muchy w kaszy.

Restaurator: To zapewne para kochanków, co popełniła samobójstwo.



Dobre zabezpieczenie.

— Bardzobym chciał zostać posłem.
— Wierzę.., to wysoki zaszczyt!
— Ej nie dlatego... ale poseł jest nietykalną osobą, to możeby mnie żona nie mogła tak grzmocić po karku.

Numer 18. Rok X. Kraków, dnia 1 Maja 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Dobry przykład.

Są ludzie na świecie, którzy wzięli sobie niejako za zadanie krytykowanie wszystkiego i staranie się o nakłonienie całego swojego otoczenia do swych zapatrywań. Oczywiście, jeżeli zapatrywania tych ludzi są dobre, nikt im tego za złe wziąć nie może, owszem każdy rozsądny człowiek wedle możności musi poprzeć ich usiłowania. Często jednak te najszlachetniejsze słowa owych ludzi chybiają zamierzonego celu, jeżeli ich nie popiera dobry przykład. Bo ten tylko może dokazać cudu i naprowadzić świat na właściwe drogi.

Weźmy na ten przykład nauczyciela. Niechby on sobie nawet gardło zdarł, aby się dzieci nie spaźniały na naukę, aby przychodziły do szkoły czyściutko umyte, gdyby sam opaźniał swe przybycie na lekcje o kilka lub kilkanaście minut; gdyby sam był zabrudzony i obdarty. Jeżeli więc nauczyciel chce wyrobić w swych wychowankach punktualność, czystość i tem podobne zalety, musi przedewszystkiem te zalety w jak najwyższym stopniu sam posiadać.

Coby naprzykład powiedzieli parafjanie, choćby ich duszpasterz jak najostrzej karcił pijaństwo z ambony, gdyby go tak samego kiedykolwiek zobaczyli pijanego? Wszelkie jego słowa szłyby na wiatr i nie odnosiłby żadnego skutku.

Coby powiedział żołnierz, gdyby go oficer zachęcał do odwagi wobec nieprzyjaciela, a sam chował się za plecami tegoż żołnierza tchórzliwie? Zapewne ten żołnierz pierwszyby uciekł z pola bitwy. A niech ten sam oficer ani słowa zachęty o odwadze nie wymówi, ale gdy zajdzie potrzeba, stanie na czele swych podkomendnych i poprowadzi ich do ataku, wówczas u tego żołnierza znajdzie się odwaga, której nauczy go czyn jego przełożonego.

Niestety, jakże daleką jest u nas teorja od praktyki! Teoretyków dobra mamy miljony, ale praktyków niewielu. W teorji mamy całe legjony ludzi wstrzemięźliwych, którzy wygadują na pijaństwo, którzy innych od tego pijaństwa odwodzą, ale gdy poddamy tych ludzi bliższej obserwacji, to przekonamy się, że zaledwie niektórzy z nich sami stronią od alkoholu. I czyż nie próżne były te ich słowa, które tylokrotnie z ust swych wyrzucili? Jeżeli brakło dobrego przykładu, przebrzmiały one bez echa i nie przyniosły najmniejszego pożytku.

Wiemy dobrze z życia codziennego, że najsurowsze napędzanie czeladzi do pracy przez opieszałego gospodarza nigdy nie osiąga zamierzonego celu. Ale niech ten sam gospodarz zakasa rękawy i ima się uczciwie pracy, to ta sama czeladź bez żadnej zachęty pójdzie za jego przykładem i dokona więcej w jednym dniu niż przy próżnem li tylko naganianiu za dwa lub trzy dni.

W czasie najazdu bolszewików na Polskę zaszedł pod Lidą następujący wypadek: Przeciw nieprzyjacielowi wysłano oddział rekrutów, którzy nigdy jeszcze w boju nie byli. Ci zobaczywszy przed sobą przeważające siły nieprzyjacielskie, gromadnie rzucali karabiny i zaczęli się ratować ucieczką. Ale był pomiędzy nimi ten, który nigdy się nie krył za plecy żołnierza: komendant Piłsudski. Nie tracił on ani chwili na daremne gadanie, ale pochwycił z ziemi porzucony karabin i zaczął biec przeciw zbliżającemu się nieprzyjacielowi. Gdy to chłopcy zobaczyli, ogarnął ich wstyd niepomierny. Zawrócili z miejsca, ujęli porzuconą broń i z takim impetem runęli na wroga, że ten, choć znacznie był silniejszy, nie dotrzymał placu boju, ale umykał, ile sił miał w nogach. Dobry przykład dokonał tutaj niemal cudu.

I znów gdybyśmy chcieli mnożyć przykłady, moglibyśmy przytoczyć ich tyle, żeby tego na wołowej skórze nie spisał. Sądzimy, że wystarczą te, które podaliśmy, aby każdy, kto chce być nauczycielem innych, sam najpierw wglądnął w siebie i nie słowem, ale dobrym przykładem starał się zło wykorzenić.

Nie znaczy to, aby zaniechać słów zupełnie, boć i słowa są potrzebne, ale tylko wtenczas, jeżeli dobry przykład da im skuteczne poparcie.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV. w.

9. Oskarżenia.

Rok ten nie dobiegł do końca, gdy ostatniego dnia października, wesołą nowiną rozległa się Polska cała: królowi Bóg dał syna następcę!... Sonka ukoronowana krwi jego zapewniała tron Polski, bo nikt nie wątpił na chwilę, że Polacy zawsze wierni swym panom wybiorą syna tego, który z wielką troską razem przyniósł im też wielką siłę... Złamana była groźna potęga Krzyżaków, garnęły się korony do Polski, rozrastały granice; hetmanił podbojem dla niej Witold.

Lecz nie wszyscy nowonarodzonego witali z jednakiem uczuciem... Piastom wyrywał on ostatnią nadzieję odzyskania praw, które stracili. Witold przysłał mu srebrną kolebkę, ale i on nie rad mu był może...

Ten dar dla pierworodnego, był jakby przejednania znakiem. Od koronacji królowej nie doszedł żaden głos z Litwy; nie ponowiły się groźby. Sonka chwilami łudziła się nadzieją, że wuja serce odzyska, że zwycięży...

Jagiełło pomrukiwał, że zwykle Boże Narodzenie spędzał w kochanej Litwie, w Wilnie na łowach. A gdy święta się zbliżały, jął namawiać królowę, po rękach ją całując.

— Jedźmy oboje do Wilna, prosić Witolda na chrzciny... Sprawim taki chrzest, jak koronację tobie... Przyjadą królowie i książęta, postaramy się, aby panowie polscy synowi twemu tron zapewnili.

Nie trwożną była królowa. Myślała długo; podróż ta wiele ją kosztować miała, lecz nuż przyniesie pojednanie? Witold przestał grozić, mogła go sobie bez upokorzenia pozyskać...

Jechali więc królestwo oboje na Litwę, do Wilna, a synaczek pozostał pod silną strażą w Chęcinach. Sonka była dobrej myśli. Chciała za srebrną dziękować kolebkę i prosić o opiekę dla syna i siebie... Wszystko jednak napróżno. Jagiełło i Sonka, nie zabawiwszy długo w Wilnie, z niczem do Krakowa odjechali.

Jagiełło znowu puścił się na łowy, do Wielkopolski, na Mazowsze, na Ruś swą, i długo w Krakowie go nie było...

W czasie tych długich dni osamotnienia na zamku czas upływał w niepokojach na przemiany, oczekiwaniu, przysłuchiwaniu się wieściom, które nadchodziły, często we łzach i smutku.

Po odrętwieniu długiem, pragnienie życia jakieś, potrzeba roztargnienia budziła się w królowej, a raczej rozbudziły ją jej towarzyszki... domagał się dwór.

Jednym z tych, co najusilniej nastawali na to, że młoda pani nie powinna była zamykać się jak w klasztorze i zamęczać się tęsknicą, był Hincza z Rogowa.

Dopomagała mu bujna młodzież, tego co on usposobienia, Piotr Kurowski, Jaś Kraska, Jaszko z Koniecpola, dwóch Szczekocińskich i inni.

Sami oni z radą przyjść nie mogli, a do ochmistrza dworu, poważnego i surowego Nałęcza Malskiego przystąpić nie śmieli... użyć musieli pośrednictwa niewiast, które bliżej były królowej.

Hincza naprzód poszedł z użaleniem do Femki, o której wiedział, że samotność pani weźmie do serca.

— Co naszej królowej po tem — rzekł — że ona królową jest i na wysokim zamku siedzi. Losu jej prosta mieszczka nie pozazdrości. Całe lata sama jedna jak w klasztorze, żeby choć pieśń lub gędźbę posłyszała... żeby gości przyjęła...

— Oj! co prawda, to prawda! — potwierdziła Femka.

— Alboby to rady nie było, gdyby ona sama chciała? — rzekł Hincza.

— Jakaż rada?

— Niech przykaże, aby ochmistsrz drzwi otworzył, gości prosił... muzyce grać kazał, a choćby królowej panny się z nami w pląsy puściły, przecieżby grzechu nie było...

Hincza i Wawrzyn Zaręba tak w uszy kładli Femce tę potrzebę rozweselenia królowej, iż stara piastunka coś jej o tem szepnąć musiała.

Lecz goręcej to wzięły niż Femka dwie siostry Szczukowskie, Kaśka i Elża, które królowej najbliżej były, służyły jej najlepiej, ale śmiertelnie się na zamku nudziły; nietyle im szło o zabawę pani, co o własną. Pod pozorem nieszczęśliwej Sonki, wszyscy tu o siebie dbali, może z wyjątkiem jednego Hinczy, który do swej pani przywiązanym był wielce, a ludzie go obgadywali, że się w niej kochał i modlił się do niej jak do cudownego obrazu.

Mogła królowa wiedzieć o tem i okazywała Hinczy życzliwość, ale nigdy nie zapomniała, że na głowie miała koronę, a na sumieniu przysięgę.

Czy namowy Femki, czy prośby Kaśki i Elży, czy własne znużenie i jakaś chwila zniecierpliwienia skłoniły królowę do tego, iż w zapusty sama będąc, ochmistrza dla dworu swego o muzykę poprosiła.

Był to wielki na zamku wypadek, gdy pod niebytność Jagiełły po raz pierwszy miały te puste komnaty ożywić się nieco i zabrzmieć pieśnią. Malski nie mógł się rozkazowi Sonki sprzeciwić, a nie widział też w tem nic złego, żeby się młodzież rozerwała i rozweseliła opuszczoną królowę...

Radość wielka panowała między młodzieżą... Zapowiedziana zabawa, którą młodzież i panny przyśpieszyć się starały, przyszła do skutku. Królowa wyszła smutna z początku, chcąc być tylko świadkiem, jak się jej dwór zabawia. Siedziała, nie mając żadnego udziału w pląsach i ledwie odpowiadała na zadawane zapytania... Ale ta atmosfera wesela, młodości i pieśni, odżywiła w niej dawną żywość, krew uderzyła do serca... Śmiały się jej wszystkie oczy i twarze... Dziewczęta przypadały, całując po rękach i z poufałością spowiadając się ze swych figlów zalotnych. Hincza prawie ciągle stał za krzesłem i rozpowiadał coś, coby do śmiechu pobudzić mogło; a odszedł on na chwilę, zastępowali go inni, Jan z Koniecpola, lub Wawrzyn Zaręba... Wszyscy oni swoją młodą królowę ubóstwiali i każdy był szczęśliwy, gdy słówko z ust jej mógł posłyszeć...

Jak się to stało, że pod koniec zabawy królowa podała rękę Hinczy i poszła z nim w pląs, śmiejąc się białemi ząbkami, sama ona może nie wiedziała. Krótko trwał tan i powróciła na swe krzesło, jakby wielką zbrodnię popełniła...

Ośmieliło to dziewczęta i pląsy zawzięły się namiętnie, tak, że im starsza pani Anna, wdowa po marszałku Zbigniewie, swoją powagą koniec położyć musiała...

Był to pierwszy krok tylko, z którego Hincza i jego towarzysze korzystać umieli, aby wieczorne zabawy powtórzyły się wkrótce...

Chociaż Strasz i nikt z dworu królewnej Jadwigi nie był czasu zabawy w izbach królowej, chyba pode drzwiami tylko, nazajutrz rozeszły się stamtąd dziwne rzeczy o tem, co się tam dziać miało. Ze zgrozą powtarzano, że królowa z Hinczą poszła w pląsy i że wszystka młodzież tak sobie tam poufale poczynała, jakby łask Sonki i bezkarności najpewniejszą była.

Ziściło się, co Hincza sobie obiecywał, a Kraska u starej pani wymodlił. Królowa nie opierała się temu, aby dwór znowu się zabawił i rozweselił... Drugiego wieczora poszło wszystko gładziej i łatwiej, śmielsi byli chłopcy i dziewczęta, a i królowej nie wydawało się to dziwnem ani zdrożnem, że ze swoimi komornikami poufale rozmawiała i ci jej prawili słodycze... Wśród tych pustych rozmów mogła na chwilę zapomnieć o tem, co jej groziło, co przecierpiała i jakie ją próby czekały jeszcze.

Hincza ile razy tylko mógł, znajdował się za krzesłem swej pani, nie zważając na to, że go nią prześladowano i że dawał tem powód do nowych posądzeń.

Królowa, widząc go na straży trwającego, odwróciła się, pytając:

— A czemuż wy sobie nie dobierzecie pary? Dziewcząt siła przystojnych jest i nie jednaby wam może była rada... No? przyznajcie mi się, która z nich wam najmilejsza? Kaśka i Elża obie hoże!

Hincza się skrzywił.

— Miłościwa pani! — rzekł — może to być, że która z nich niczegoby się wydała, ale tam, gdzie róża albo lilja kwitnie, trudno patrzeć na nogietki!

— Musieliście się od Niemców uczyć tak trefnej mowy — odparła królowa — ja jej nie rozumiem...

Hincza spostrzegłszy się, iż za śmiało wystąpił, oczy spuścił i krok się cofnął. Królowej się żal go zrobiło...

— Powiedzcież mi — odezwała się — do której się Jaśko z Koniecpola zaleca? bo widzę, jakby nie wiedział, którą wybrać i wszystkie z kolei bałamuci...

— Miłościwa pani — odparł, chcąc sprawę swą naprawić Hincza — my tu wszyscy, ilu nas jest, dla jednej naszej królowej oczy mamy, a przy niej nam żadna nie miła...

Sonka potrząsnęła główką i pogroziła Hinczy, który chcąc w żart obrócić, co powiedział, uśmiechnął się.

— Nie mam was za to czem nagrodzić — dodała po chwili królowa...

— A i my też niczego nie żądamy i nic się nie spodziewamy — dodał Hincza. — Ilu nas jest, choć życieśmy dać gotowi...

Królowa zamilkła, a po chwili rozkazująco odezwała się:

— Idź mi zaraz weź Helusię Kotkę do tańca, to ci się głowa zawrócona wyprostuje...

Hincza posłuszny od krzesła pobiegł, ale tuż miejsce jego zajął Jaśko z Koniecpola. Ten mówić nie śmiał, czekał na rozkazy. Królowa pożartowała z niego, że nie wie jaką ma wybierać i radziła mu Elżę; on się od wszystkich wypierał. Tak przeszedł wieczór cały, lecz Sonka już do tańca nie dała się wciągnąć. Femka, która coś posłyszeć musiała, radziła jej być ostrożną.

— Złe języki jak żądła kolą — szepnęła jej z rana. — Dobrze się poweselić, ale strach, aby potem nie płakać.

Przestroga ta nie uczyniła wrażenia, ni smutku. Sonka czuła się w duszy niewinną, a trochę roztargnienia skracało jej długie dni samotności.

Królewna Jadwiga ani razu nie dała się ściągnąć do macochy, chorą się opowiadała lub wprost odmawiała. Strasz, dworzanin Jadwigi, tymczasem szpiegował, i spoufalenie się dworzan, których był wrogiem, wystawiał przed ludźmi ze zgrozą, jako występne jakieś zaloty. Niewpuszczany na pokoje, miał zwyczaj wczasie tych wieczornych zabaw i śpiewów podkradać się pode drzwi i chwytać, co mu doszło do uszu, aby potem z tego tworzyć niegodziwe potwarze.

Dopatrzono tych podsłuchów. Kaśka i Elża Szczukowskie skradły się po cichu i złapały go na gorącym uczynku. Na ich okrzyk wypadł Hincza, Jaszko z Koniecpola, dwóch Szczekocińskich i przytrzymanego Strasza nie tylko obili, ale go przed ochmistrzem Malskim oskarżyli.

Wywiązała się z tego sprawa przykra dla Strasza, który musiał w zamkowej kunie odsiedzieć karę. Zwiększyło to jego złość i wyszedłszy z zamknięcia za wstawieniem się królewnej, poprzysiągł głośno:

— Będą mnie oni znali, nie będę żyw, jeśli nie posadzę ich wszystkich głębiej, niż ja siedziałem i na dłużej. Pozna mnie i Rusinka, której stary mąż się naprzykrzył i młodych sobie szuka dla zabawy.

Poszły więc zaraz donosy na Litwę do Witolda, ale przez drugich podawane nie obudziły wiary w wielkim księciu. Kazał się Straszowi stawić samemu z tem, co przeciwko królowej miał.

Chwila była nadeszła, w której gniew na Sonkę wzrósł do najwyższego stopnia. Witold, nie mając potomstwa, pod którymkolwiek z książąt litewskich chciał po sobie zostawić Litwę, oderwaną od Polski. Tymczasem Jagielle rodzili się synowie, nowy potomek był spodziewany. Groziło to jego mającemu się stworzyć państwu litewsko-ruskiemu, że przejdzie na Jagiełłowych synów i pozostanie z Polską związanem. Zgubić więc potrzeba było królowę, aby uratować przyszłą koronę litewską! Sonka trwała w swym uporze, trzymała stronę Oleśnickiego. Witold pragnął się pomścić. Strasz w jego ręku miał być tej zemsty narzędziem. Wahał się Strasz ze spełnieniem rozkazu Witotlda, lecz w końcu posłusznym być musiał. Znikł więc jednego dnia z Krakowa, nie opowiedziawszy się nikomu, oprócz Salki i królewnej. Strasz powlókł się na Litwę. Tu czekać musiał powrotu Witolda z ruskiej wyprawy.

Wielki książę przybył niemal zwycięzcą, rokując sobie przyszłe podboje... Zaledwie chwilę wolną miał, po pierwszych naradach z Cebulką i Małdrzykiem, kazał Strasza przywołać.

Rozwiązał mu usta książę, chcąc od niego całej prawdy... Strasz zamiast niej, obmyślaną dobrze potwarz przynosił.

— Niema co taić — rzekł — srom i hańba, co się dzieje na krakowskim zamku. Po dniach całych i nocach królowa wyprawia swawole z młodzieżą, dobierając sobie najurodziwszych. Wszyscy palcami wytykają jej kochanków... Hinczę z Rogowa, Wawrzyna Zarębę, Janka z Koniecpola, dwu Szczekocińskich...

Bystro spojrzał na mówiącego Witold, któremu twarz bladą oblała krew, bo i zazdrość i gniew powiększała.

— Patrzaj, co mówisz, abyś tego dowiódł; — zawołał — niemałej to wagi rzecz... królowę obwinić... i srom rzucić na ród pański...

Strasz widząc, że już się cofać nie mógł, począł się w piersi bić i palce na palce zakładać, przysięgając, że mówił prawdę.

— Cóż na to duchowieństwo? — zapytał Witold.

— Duchownym panom umie się królowa ułożyć i okazać jak chce, mówił Strasz. — Do kościoła chodzi, klęczy i modli się, a swoje robi. Na dworze sobie podarkami i łaskami ludzi ujmuje, więc milczą. Boją się jej wszyscy, bo dosyć, by Jagielle szepnęła słowo, a człowiek zgubiony...

Umiał Strasz opowiadając, nadać potwarzom swym takie prawdopodobieństwo, iż Witold dogodnym mu powieściom uwierzył.

Postanowił uczynić krok stanowczy, położyć koniec panowaniu Sonki. Na to potrzeba było osobistego widzenia się z Jagiełłą, przy którymby królowa przytomną nie była.

Wahał się z wykonaniem zamysłu, coraz to badając Strasza, dopytując, wydobywając z niego nowe szczegóły. Strasz, który miał czas do namysłu i ułożył sobie zawczasu baśń całą, nie dał się pochwycić w niczem, i dostarczał coraz więcej jątrzników gniewowi Witoldowemu.

Dopiero, gdy się badanie skończyło, a mściwy Strasz ochłonąwszy i rozsłuchawszy się na dworze Witolda, począł ważyć skutki swojego kroku, uląkł się sam następstw. Poszedł więc do księcia, zaklinając go i prosząc, aby mu tajemnicy dotrzymał i nie wydawał, gdyż wielu z tych, których mianował, rodzin i powinowatych zemsty się obawiał...

Witold jako dumny a szlachetny pan, zmierzył go wzrokiem pogardliwym.

— Cóżeś myślał, że ja z tobą na spółkę ludzi oskarżać będę, nie mianując skąd to mam? Twoja rzecz była ważyć wprzód skutki, nimeś mi przyniósł wieść, ja cię ani zakrywać, ani taić nie myślę. Owszem głośno pozwę cię na świadectwo.

Strasz struchlał. Nie wątpił on, że Witold zwycięży, że królowa będzie zgubioną, że komornicy, których podał imiona może na gardle karani będą, ale zawsze pozostać mógł kto do pomszczenia ich. I on więc paść miał ofiarą?

Odprawiony niemal obelżywie, odszedł Strasz, innej nie otrzymawszy nagrody nad nadzieję zemsty...

Ogarnęła go trwoga. Na zamku spostrzegł, że na niego oko miano i nie wypuszczano go bez towarzysza nawet za miasto...

Zwiększyło to obawę.

Dowiedział się potem, że Cebulkę książę z poufnem jakiemś poselstwem wysłał do Jagiełły... Im dłuższy czas upływał, tem strach wzrastał... Na samą myśl, że zmuszony być może w oczy obwinionym dowodzić, kto wie, pod przysięgą może, rozpacz go niemal ogarniała.

Nie było już innego ratunku nad ucieczkę, lecz pogoń mogła go w niej pochwycić; próbował księcia prosić, aby go do Białaczowa odpuścił, ale Witold zostać mu kazał, zapowiadając, że go z sobą do Horodła zabierze, gdzie się z królem Jagiełłą miał zjechać.

Wpadł Strasz w zwątpienie i niepewność wielką, co miał czynić?

Jednego dnia rano Małdrzyk, pisarz Witoldów, dał znać księciu, iż od wczora wieczora Strasza jakoś widać nigdzie nie było. Posłano szukać na miasto i tu się nie znalazł. Konia, na którym ze sługą przyjechał, także na stajni nie było, a sługa jeszcze wprzódy od pana zniknął...

(Ciąg dalszy nastąpi.

Cześć poległym!

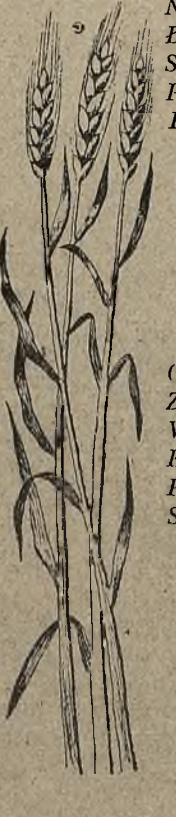
Wiersz napisany z okazji odsłonięcia tablicy pamiątkowej w dniu 30/4 b. r. ku uczczeniu poległych profesorów i uczniów bocheńskiego gimnazjum.

Kiedy Ojczyzna wśród burz i błyskawic
Miała zmartwychwstać po dziejowej męce,
Wówczas podniosło się tysiące prawic,
Aby Jej ulżyć — zdjąć cierniowe wieńce,
Które raniły Jej skronie i ciało
Co na trzech krzyżach rozpięte wisiało...

...I poszły hufce z wiarą i otuchą
W sercu, nieść Polsce promień zmartwychstania;
Poszły, ażeby rozjaśnić noc głuchą...
Pośród błyskawic i piorunów grania
Lały krew swoją dla wielkiej idei
Ginąc ofiarnie pośród kul zawieji...

Wpatrzeni w Matki najświętsze oblicze
I w ono ptasze srebrne na purpurze,
Co podsycało ich serdeczne znicze,
Z których dym wonny wznosił się ku górze,
Na której Chrystus stał i błogosławił
Ten lud rycerski, co się we krwi pławił...

Byli tam mężni i chrobrzy rycerze,
Byli młodzieńcy w kwiecie życia-wiosny,
Byli i starzy, a wszyscy w ofierze
Nieśli krew swoją, by ów dzień radosny,
Dzień Zmartwychwstania Ojczyzny przyspieszyć
A zrozpaczonych podnieść i pocieszyć...



O bo nie brakło takich, co zwątpili
Nie wierząc słowom proroczego Ducha...
Łzami się jeno rozpaczy karmili
Słysząc wciąż zgrzyty rdzawego łańcucha —
Przepaść widzieli mogilnego dołu
Pełną gadziny i zgliszcz i popiołu...

Lecz przeminęły dni zgrozy i klęski —
Na krwi i kościach bohaterskich wojów
Stanął fundament Ojczyzny zwycięskiej!...
Ucichły echa krew mrożących bojów,
Pękły dziejowej mogiły wierzeje,
Wstała!... Dziś w blaskach słonecznych jaśnieje!

Cześć Wam i chwała krwi ofiarodawcy!
Za Waszą sprawą dziś Ojczyzna żyje,
Wyście Ją z ręki wydarli oprawcy,
Który się dzisiaj we własnej krwi myje
Patrząc na Polskę, co w złotej glorji
Stoi potężna wsparta na Wiktorji!...

Cześć Wam rycerze! Nieśmiertelną chwałą
Okryje wdzięczny Naród Wasze skronie,
Cherubiny Waszą duszę białą
W raju osadzą na złocistym tronie...
Boć za krew Waszą, katusze i rany
Czeka Was laur od Pana nad Pany...

Robert Rydz.

TRZECI MAJ.



A gdy przyszło południe dnia Trzeciego Maja,
Polskim sejmem wstrząsnęły okrzyki radości,
Bo owoc pracy Księdza Kołłątaja,
Położono na dłoniach króla jegomości.

Król ręce podnosi, dźwięczy antyfona,
»W Imię Pana Zastępów w Trójcy Jedynego,
Rozwarte na braci czekają ramiona,
To prawo stanowim dla dobra naszego —

I pieśń serdeczną zadzwoniły dwony,
Zorza oblała lepianki, poddasza,
A po wszystkich krańcach tej Polskiej Korony,
»Zygmunt« z Wawelu nowy dzień ogłasza.

Runął świat stary, zacofany, głupi,
Na chmurnym niebajasna błysła gwiazda
Wiatr rozwiał daleko śmierci zapach trupi,
Młodych orląt gromada wyleciała z gniazda.

I wyszła do ludu wolność uśmiechnięta,
I wyszło z lamusu braterstwo i zgoda,
Objęli się w ramiona chłopi i książęta, —
Poszła tam Polska, gdzie niska zagroda.

Brzmią pieśni, radość, szał, brzmią wiwaty,
I cała Polska w górę ręce wznosi,
Łopocą sztandary, a niebo ziemi śle swaty,
Pieśń ludzi upaja, pieśń ta radość głosi...

Od echów ślubowań katedra się trzęsła,
Od radości w źrenicach, aż pobladło słońce,
A nad wszystkich kamienic fasady i przęsła
Nowej ery dla ludu wyleciały gońce.

Pochyliły się panów siwowłose głowy,
Podniosły do góry biednych ludzi czoła,
Na sklepieniu katedry stał duch Chrystusowy
Błogosławiąc polskie miasteczka i sioła.

Zamieniły pocałunek honorne wielmoże,
Z chłopami od pługa, i z »łykami« z miasta,
A gdy zaśpiewano »Święty, Święty, Boże...«
Poruszyły się prochy Chrobrych królów z Piasta,

I choć dzień ten minął, choć zdeptali prawo
Zdrajcy, co własną matkę nożem żdżgali,
Choć cała Polska potem kapała się krwawo
Choć wszyscy na świeeie Polsce urągali —

Ona żyła tą mocą, co się zowie wiara,
Ona drgała tą pieśnią co z Miłości tchnęła.
A gdy się spełniła Jej krwawa ofiara —
Jak okręt z kurzawy krwi wojny, do portu
[wpłynęła.

Józef Kapuściński.



MACIEK BZDURA GADA:

Napsiocyli mnie tez jegomość w tamtą niedzielę napsiocyli. Powiadali mi, ze ja od wielgiego palca do ostatniego kłaka na głowie jestem niemoralny. Strapiłem się tem okrutecnie, bo jak zyję, jescem nigdy zadnej niemoralności otwarcie nie popełnił, a tu taka kunirka mnie najwięksiejsa spotkała i to od cłeka, który mnie krzcił, któryby mi z ochotą ślub dał, zebym ino chciał i który mnie pochowa, czy bede chciał, cy nie. Juści musi to być prawda, kiedy tak powiadali jegomość, ino ze ja ani rus nie mogę spenetrować, kiedy i co ja takiego złego popełniłem, zeby mnie jaz publicnie psiocyć.

Wziąłem se do dorady Kaśke i pytam:

— Powidzze mi Kaścysko kiedy ja jaką niemoralność popełnił, o której jegomość prawili, bo mi sie to jakosik wszyćko nie zdaje?

A Kaśka na to:

— To juści nic innego, ino chyba to, ze zarbyś jak koń, gdyby ci ino gospodyni zarcia nie scędzili.

— Ba, zarcie, zarciu nie równe. Co prawda, to taki Maciek cy Bartek, jak ja, spucuje nieraz donicke zimniaków i pół bochenecka chleba. Ale to wszyćko jałowizna i tak migiem przeleci przez cłeka, jak piasek przez sito. Ze to duzo tego, to cały świat zaraz to widzi i wszyscy o tem gadają. Ale jak taki insy człowiek wsunie w siebie śnycelka, to kurcątko, to pół łokietka kiełbasy, to sie to nie nazywa obzarciem, ino z pańska przekąską. A z pewnością zą taką jedną przekąske pańską, toby było dziesięć moich obiadów.

— No juści, mas rację — prawi Kaśka. — Chyba nie o tem jegomość myśleli, bo sami dzięki Bogu mają ze styry łokcie na wysokość, a dwa na syrokość, i to, co ich samych u siebie nie razi, razić ich u inksych nie powinno.

— Mądraś ty, psiawiaro, ale jesce całkiem głupia! Bo gdybyś ino krztyne rozumu miała, tobyś musiała wiedzieć, ze ludzie ludziom te wady wytykają, których mają sami najwięcej. Pijak będzie psiocył pijaka, ze pije, złodziej złodzieja, ze kradnie, a tłuścioch chudego, ze zawiele sie obzyra. Jeden drugiemu zazdrości, bo sie boi, zeby jemu nie brakło.

— Acha! Juz wiem! — pada Kaśka. — Jegomości sie nie podoba, ze za dzieuchami gały wywalas, jak nie przymierzając wół na malowane wrota.

— Wywalam, wywalam, to sie zaprzecyć nie da, ale od cegoz mi Poniezus dał ślipia? Przecie ich garściami zatykał nie bede, gdy mi przed nie jaka pokraka wlizie. Zreśtą pokaz ty mi takiego kawalera, cy chłop ze wsi, cy pon z miasta, cywilny, cy wojskowy, cy jaki inksy, zeby sie odwracał, jak dzieuche zuźry? Ja patrze na ciebie, gospodarz na gospodynie i tak patrzy kuzden na to, co ma najblizse w chałpie i nikt nikomu tego za złe nie bierze i nikt nikogo za to psiocyć nie powinien. Zreśtą ja ci to wnet obserniej wytłomacę, jak jesce kto na mój honor wlizie, bo mi sie dziś jesce nie chce.

I tak podzisiaj nie wiem, cego jegomość chcą odemnie, a nimam sie kogo spytać, bo wszyscy mnie miłują i codzień otrzymuję całą pakę listów z powinsowaniami la mnie, a casem to i jaki taki gros sie trafi to na to, to na owo.

Co prawda, to niktóre dzieuchy tych grosów mi zazdroscą, a jedna ś nich co prawda nie z Nockowy, ale z Kańcugi taki list do Kaśki wyśtyftowała:

Droga Kolezanko!

Przysyła dla Maćka każdy parę groszy
Na kupno krawatki, czapki i grzebienia,
Pomadki na wąsy, pendzlika, kaloszy,
Pachnące mydełko do brody golenia.

To znowu na dramiki, na paczkę tytoniu,
Na całego śledzia i na zapowiedzi.
Maciuś paraduje, jeździ se na koniu...
W jeden tydzień gada, w drugi darmo siedzi.

Ty nas Kasiu bronisz przed Maćka gadaniem,
Podjęłaś się pisać w ukochanej „Roli",
Nikt na cię nie wspomni, ale wszyscy za nim!
Lecz my czytelniczki zaczniemy powoli.

Ja pierwsza dla ciebie parę groszy złożę
Na twoje wesele, na kupno sukienki.
Każda z czytelniczek przyszle ci, co może,
Czy wiejskie dziewczyny, czy z miasta panienki.

Ty nas za to pilnuj przed Maćka napaścią,
Bo on ciągle plecie, że nasz język długi.
Jakby dużo paplał, gębę zatkaj garścią!!...
Cześć!!

Twa koleżanka z pod miasta Kańczugi
Teklusia Pękalska.

Takie pisanie dostała Kaśka, a właściwie nie dostała, bo ja je od poćciarza odebrał i przed Kaśką schował, bo jakby se je przecytała, toby się jej Bóg wie co zdawało.

Ja wiem, ze i za dzisiejse gadanie znowu mnie jegomość śpsiocą raz za to, zem przepisał z listu słowo „koleżanka", z którego po odrzuceniu dwóch liter zrobią zaraz: kolanka, a po drugie i bez to, ze tam jakasik Teklusia kaze dawać składki la Kaśki a nie kościelnemu na ofiarę. Ale niech tam! Jesce sie ten nie urodził, coby wszyćkiem dogodził.

PIEŚŃ MŁODZIEŻY!

Choć burza chuczy wkoło,
Choć los nas gnębi zły,
Hej bracia, hej wesoło
Na nic są wszelkie łzy.

Świat w starych swych poglądach
Obręczą ściska nas
W nowego życia prądach
Młodzieży żyć już czas.

W niewoli żyć to hańba,
Gdy siły człowiek ma,
Partyjna dobra sprawa
Zwycięstwo zawsze da!

Do wspólnej pracy dłonie
Podajmy zgodnie swe
I na natury łonie
Wyrzućmy z nas, co złe

Partyjnem hasłem będzie
W jedności tylko żyć
Nią zespoleni wszędzie
Silnymi musim być.

Do słońca, do swobody
Dusza nasza się rwie;
Opór nasz, jak stalowy,
Jak wicher strąca złe.

Gdzie zazdrość nie panuje,
Gdzie wszystko kocha się,
Młodość się nie marnuje
Pomyślność tam nieść mię.

Gdzie niema troski, bolu,
Gdzie niwy kwiecia róż
I sił nie braknie w boju,
O bracia tam być już!

Gdzie serca się nie truje
I miłość wieczna trwa,
Gdzie smutek nie panuje,
Tam pragnie dusza ma!

Jan Kozieł.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Johnson i Euzebio udali się do pokoju don Ramona. Zastali tam i Karmelę, która z niemniejszą od ojca niecierpliwością wyglądała gościa. Ujrzawszy wchodzącego, biedny ojciec podbiegł żywo ku niemu, wołając ze wruszeniem, którego nie mógł opanować:



...Cezar nagle przystanął i zaczął bacznie nadsłuchiwać"...

— Czy to prawda, że syn mój żyje? Czyś pan to rzeczywiście powiedział?

— Tak jest.

— Czy pan to wiesz na pewno?

— Nigdy nie mówię tego, czego nie wiem na pewno.

— O Boże miłosierny, dzięki! — zawołał don Ramon, składając ręce i znów począł pytać z gorączkową niecierpliwością:

— Wszak wspomniałeś pan coś o poselstwie. I jakież to poselstwo?

— Nie tak nagle, — poczekaj pan, muszę wprzód wspomnieć o różnych innych okolicznościach. Posłuchajcie państwo: Będzie już temu rok przeszło, jak wybrałem się na polowanie na wybrzeża rzeki Czerwonej. Na nieszczęście spotkałem tam gromadę Komanszów i ani się spostrzegłem, gdy już byłem okrążony dokoła i ujść im nie mogłem. Nie poddałem się jednak bez walki: kilku napastników położyłem trupem, dwóch czy trzech kolbą obaliłem na ziemę, w końcu mnie jednak ta hałastra pokonała. Powalili mię i skrępowali, jak barana, na rzeź przeznaczonego.

Niedługo się namyślali: uwiązali mię do pala i oznajmili, żem godzien ponieść śmierć wojownika. Za chwilę strzały świstały mi przy samych uszach, siekierki latały nad głową. Co chwila wyglądałem śmiertelnego ciosu i odmawiałem po cichu modlitwy, polecając duszę Bogu.

A wtem, patrzę, biały jakiś myśliwiec, ogromny, przystojny mężczyzna bieży prosto do mnie. Prędzej niżbym do trzech zliczył, myśliwiec ten rozciął więzy, którymi byłem do pala przymocowany. Komanszowie stali wszyscy, jakby w ziemię wrośli, i żaden nawet nie próbował przeszkodzić memu wybawcy.

Cała zgraja stała przed nim nieporuszona, pokorna i milcząca, a młodzieniec spoglądał na nich z góry i groźnie przemawiał coś w ich języku. Trudne to do uwierzenia, — a jednak naprawdę nietylko żaden z tych hultajów mu się nie sprzeciwił, lecz jeszcze sami nieproszeni oddali mi nóż, strzelbę, oraz inne rzeczy, które mi byli zabrali podczas napadu. Myśliwiec podał mi rękę i obaj najspokojniej poszliśmy w las.

Zacząłem serdecznie dziękować memu wybawcy, — bo też winien mu byłem wdzięczność niemałą, — lecz on mi przerwał mowę pytaniem, czy nie byłbym tego samego uczynił na jego miejscu? Szliśmy dalej w milczeniu i wówczas dopiero spostrzegłem, patrząc na młodego myśliwca, jak dziwny, głęboki smutek rozlany był na jego twarzy. Nie należę do ludzi, którzy się łatwo roztkliwiają, a jednak serce mi się ścisnęło, gdym pomyślał, jaki ból straszny musiał się gnieździć w jego duszy, jeśli na obliczu tak widoczne wyrył ślady. Ale muszę śpieszniej opowiadać, widzę, don Ramonie, jak gorąco pragniesz dowiedzieć się czegoś więcej.

— Powiedz mi pan jedno tylko słowo — mówił właściciel haciendy głosem drżącym — czy to był mój syn?

— Tak jest.

— O Boże, dzięki Ci stokrotne! — wołał don Ramon ze łzami rozrzewnienia.

— A teraz mów pan dalej — odezwał się don Ramon — niechże już dowiem się o wszystkiem.

— Ze dwie godziny szliśmy tak obok siebie przez las — opowiadał Johnson — kiedyniekiedy tylko otwierając usta, by parę wyrazów wymówić, gdy młody myśliwiec się zatrzymał, spojrzał na mnie swemi pięknemi, a tak głęboko smutnemi oczyma, podał mi rękę i rzekł:

— Jesteś pan już teraz bezpieczny od napaści Komanszów; możemy się pożegnać.

Dziwnie mi się jakoś przykro zrobiło. Zawahałem się chwilę, a potem odrzekłem:

— Miałbym prośbę do pana.

— Jaką? — zapytał.

— Smutno mi rozstawać się z panem, czy nie moglibyśmy odtąd razem wędrować po lesie? Ja także jestem myśliwcem i traperem.

— Z przykrością odmówić muszę — rzekł łagodnie — ale ja przywykłem do samotności.

— Popróbuj pan mego towarzystwa przez krótki przeciąg czasu przynajmniej.

— Dobrze — wyrzekł po chwili namysłu.

— A więc dobrze! pozostańmy razem przez dni czternaście, dziesięć, cztery zresztą, — jak się panu podoba.

— Niechże będzie cztery dni na początek — odpowiedział.

Cztery dni upłynęły prędko; byłem w wielkiej obawie, gdy nadszedł piąty. Lecz i ten jakoś przeminął szczęśliwie i syn pański nie wspomniał o rozstaniu, a naturalnie ani ja także. Zaczęliśmy coraz częściej rozmawiać z sobą, — w puszczy ludzie odwykają od mowy.

— Już nieraz usiłowałem wybadać, jaki to smutek tak ciężko dręczy jego duszę. Nigdy jednakże nie chciał mi odpowiedzieć. Wreszcie raz wyznał mi, iż

w młodych latach zawinił bardzo i ojciec zmuszony był go się wyrzec. Lecz Bóg zmiłował się nad nim, otoczył wygnańca swoją opieką, pychę jego zamienił w pokorę i t. d., nie potrafię tego wszystkiego tak pięknie wypowiedzieć. Sam mi później mówił, że to wyznanie wielką mu ulgę przyniosło i odtąd już codziennie rozmawialiśmy o rodzinnym jego domu, o panu, don Ramonie, o córce pańskiej i o tym staruszku. Wkrótce przyszło do tego, że syn pański prawie o niczem innem nie mówił.

— A czy nigdy nie wspominał, że radby wrócić do rodzinnego domu?

— Nie, nigdy.

— Czemużeś go pan nie namawiał do tego?

— Namawiałem.

— I cóż?

— Powiedział, żeś mu pan zabronił wracać do ojczyzny, gdyż jest hańbą i zakałą rodziny.

— Niestety! rzeczywiście wymówiłem te okropne słowa.

— Chciałem wmówić w niego — ciągnął dalej myśliwiec — żeś pan już dawno musiał mu przebaczyć i przyjąłbyś go z roztwartemi rękoma, bo dziś stałby się chlubą rodziny. Bóg świadkiem, że mówiłem szczerze.

— I niczem przekonać się nie dał?

— Niczem. A jednak...

— Cóż jednak?

— Widziałem ja to dobrze, jak tęsknił za rodziną, za ojczyzną, widziałem, jak mu to wygnanie straszliwie cięży i uczyniłem postanowienie, które wykonałem bezzwłocznie. Rozstałem się z nim pod pozorem jakiejś osobistej sprawy, oznaczyliśmy miejsce, gdzie znowu spotkać się mamy i puściłem się w drogę.

— O Boże! mamże temu wierzyć? — zawołał don Ramon — czyżbyś pan umyślnie odbył tę długą podróż, aby syna mego ze mną pojednać?

— W rzeczy samej, po to tu przybyłem. Nie upoważnił on mnie wprawdzie do tego poselstwa, a jednak...

— O dzięki ci, zacny, szlachetny człowieku! — przerwał don Ramon, ściskając serdecznie dłoń myśliwca.

— Chciej więc, don Ramonie, powierzyć mi list do syna z wynurzeniem tych uczuć ojcowskich, które, jak widzę, serce twoje przepełniają. Jutro rano myślę wyruszyć z powrotem.

— List? o nie, listu nie napiszę — wołał właściciel folwarku, z młodzieńczą żywością przechadzając się po pokoju, widocznie w myślach pogrążony.

— A więc nie chcesz mu pan przebaczyć? — mruknął Johnson, chmurząc się groźnie.

— Jak pan możesz to przypuszczać?! Wcale co innego miałem na myśli. Ale powiedz mi pan, czy syn mój nie domyślał się nawet celu twej podróży?

— Rozumie się, że nie. Chciałem mu niespodziankę sprawić.

— Otóż ja sądzę, że niespodzianka będzie jeszcze większa i przyjemniejsza, gdy ja sam razem z panem pojadę na spotkanie mego syna.

— Czy naprawdę chciałbyś pan to uczynić? — zawołał myśliwiec uradowany.

— Nie zniósłbym niepewności i oczekiwania! Pojadę, nic mnie nie powstrzyma!

— O, to dobrze, to doskonale — mówił Johnson, zacierając ręce z zadowoleniem. I kiedyż wyruszymy w drogę?

— Nie prędzej, jak za tydzień, chociaż radbym nie tracić ani chwili czasu. Muszę jednak zabrać ze sobą ze trzydzieści ludzi uzbrojonych, abyśmy podróż odbyć mogli z zupełnem bezpieczeństwem.

— Wybornie, doskonale! — powtórzył tamten raz jeszcze z wielkiem zadowoleniem.

— Ojcze, mój drogi ojcze — odezwała się Karmela, której śliczna twarzyczka promieniała szczęściem — mam prośbę do ciebie, czy ją spełnisz?

— Z góry ci to przyrzekam — odpowiedział ojciec — dziś nie odmówiłbym nic nikomu, a tem mniej tobie, Karmelo.

— Zabierz mię ze sobą, ojcze — rzekła Karmela błagalnie — ja także pragnę jechać po Rafaela.

— Żądasz niepodobieństwa, moje dziecko — odpowiedział don Ramon, zdziwiony temi niespodziewanemi słowami.

— Panienka ze mną ostanie — odezwał się Euzebio. — Będziemy razem pilnowali domu i wyglądali Rafaela, który powróci do nas na zawsze, — na zawsze, o, co za myśl radosna!

— Powiem to samo, co ojciec: nie zniosłabym oczekiwania i niepewności, skonałabym z niepokoju, z tęsknoty. Mój drogi ojcze!...

— Cóż pan o tem mówisz? — zapytał don Ramon, zwracając się do myśliwca.

— Dałeś pan słowo — odrzekł tamten — niema co, trzeba go dotrzymać. Zresztą, czemużby panna Karmela jechać nie miała? Wszak nie będzie bez opieki; trzydziestu ludzi uzbrojonych, to siła nielada wśród puszczy.

— Słyszysz, Karmelo — rzekł don Ramon — pojedziesz z nami. Przygotujże się jak należy do tej podróży.

Folwark del Milagro zawrzał ruchem i życiem. Don Ramon objeżdżał konno okolicę, wynajdując, gdzie tylko można było, ludzi najpewniejszych, których zamierzał uzbroić i zabrać ze sobą na wyprawę do puszczy. Johnson, jako najlepiej obeznany z niebezpieczeństwami puszczy, miał objąć dowództwo nad małym oddziałem zbrojnych ludzi.

Pewnego pięknego poranku gromadka jeźdźców skierowała się na północ; Karmela, wybornie jeżdżąca konno, nie pozostawała w tyle za innymi, trzymając się przy boku ojca. Przed bramą stał Euzebio i załzawionemi oczyma spoglądał za odjeżdżającymi. Długo powiewała z daleka biała chustka Karmeli, wreszcie wszystko znikło w mgle porannej.

— Boże, prowadź ich, bądź ich obrońcą i opiekunem! — szeptał staruszek i wzrok jego wzniósł się w niebo. Potem wolnym krokiem powrócił do domu.

16. Dik i Cezar w puszczy.

Opuściliśmy Cezara i Dika owego poranku, gdy Serce prawe pożegnał się z nimi i powędrował do przyjaciół swoich Osagów. Stan zdrowia Dika nacznie się polepszył, lecz chłopak był tak osłabiony, że przez dni kilka jeszcze nie mógł się podnieść z posłania. Cezar pielęgnował go ciągle z największą troskliwością, wówczas tylko na chwilę odstępując chorego, gdy trzeba było koniecznie przynieść świeżej wody lub inną spełnić usługę.

Nie dziw, że przy takich staraniach chory szybko przychodził do zdrowia. Wkrótce też mógł wychodzić z Cezarem na przechadzki po lesie, a potem i na dalsze wycieczki myśliwskie. Rozrywka ta bardzo była biednemu chłopcu potrzebna, bo pomimo upewnień myśliwca, że ukochanym jego nie grozi żadne większe niebezpieczeństwo, był on zawsze bardzo niespokojny o nich.

Dnia pewnego słońce zniżyło się ku zachodowi, gdy dwaj przyjaciele powracali z takiej myśliwskiej wyprawy. Byli już niedaleko od fortecy, gdzie tym razem ostawili Sułtana na straży i szli krokiem przyśpiesonym, gdy nagle Cezar przystanął i bacznie począł nadsłuchiwać.

Już po raz drugi tego dnia odgłos niezwykły obił się o ich uszy. Był to wyraźnie ryk drapieżnego zwierza.

— Jaguar — szepnął Dik strwożony.

— Nie, to kuguar czyli puma — odrzekł murzyn — znam dobrze to zwierzę i głos jego odróżnić potrafię. Tymczasem głos drapieżnego zwierza zbliżał się coraz więcej i coraz wyraźniejszy się stawał.

— Co tu robić? — spytał Dik, opatrując starannie strzelbę.

— Najlepiej stańmy tu z boku i czekajmy — odrzekł murzyn — kuguar zwęszył gołębie, idzie tu niezawodnie po to, aby sobie porządną ucztę wyprawić. Zaraz go obaczymy.

— A jeżeli zechce i naszej skóry zakosztować? Toby nie była wcale rzecz przyjemna.

— O to Dik może być spokojny, niema żadnego niebezpieczeństwa. Kuguar jest rzeczywiście nadzwyczaj drapieżny, gdy ma do czynienia ze słabszemi zwierzętami, lecz na człowieka bardzo rzadko się rzuca .Zresztą mamy przecież strzelby. Najlepiej byłoby, gdybyśmy się wdrapali na drzewo; widzielibyśmy go stamtąd doskonale.

— Zapominasz chyba, że kuguar łazi po drzewach, jak wiewiórka.

— Pamiętam o tem, ale niech się Dik nie obawia. Kuguar będzie prawdopodobnie łaził po drzewach i chrupał gołębie; a choćby nawet zabłądził do nas przypadkiem, z pewnością ucieknie zaraz, gdy nas zobaczy. Gdyby się rozzuchwalił, zakosztuje naszych kulek.

— Niechże i tak będzie — rzekł Dik — ja także radbym tęmu złośliwemu kotowi przypatrzeć się bliżej.

Murzyn upatrzył drzewo stosowne i obaj wdrapawszy się na nie, usadowili się wygodnie pod osłoną liści, skąd wszystko widzieć mogli doskonale, sami nie będąc widziani.

Zaledwie dwaj przyjaciele usadowili się w swej kryjówce, gdy pod tem samem drzewem dał się słyszeć szelest. Spojrzawszy w dół, ujrzeli tam ciemną jakąś postać, która krążyła pod drzewem i łeb co chwila podnosiła. Przypatrzywszy się jej lepiej, poznali kuguara. Tymczasem z dwóch stron jednocześnie ozwały się głosy innych kuguarów, także niezbyt oddalonych.

— Ej, źle podobno będzie z nami — szepnął Dik przestraszony do ucha murzyna.

— Niech Dik się nie boi, jeszcze nam żadne niebezpieczeństwo nie zagraża — odpowiedział tamten równie cicho.

— Nie widzę już zwierza — szeptał znów Dik — czyżby nas zwietrzył i uciekł?

— Nie sądzę. Kuguar, podobnie jak i inne koty, ma wzrok i słuch doskonały, lecz węch nieszczególny. Nawet i o jaguarze powiedzieć to można. Aha!... czy słyszysz?... wszak to trzepotanie skrzydeł gołębi.

Murzyn ucichł, gdyż w tej samej chwili ruch i szelest zaczął się wzmagać pomiędzy drzewami. Skaczące postacie kotów migały wśród ciemności; słychać było żałosne gruchanie i trzepotanie gołębi, latających tu i ówdzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pasterz Maj i królowa Wiosna.

Hej szumią lasy nasze od Żywca aż ku Babiej Górze, szumią gięte wichrem halnym, tonące w złotym blasku wiosennego słoneczka, gwarzące coś cicho i tajemniczo, pewnie o przeszłych, dawnych, bardzo dawnych czasach, dumają o przeszłości tych gór, z których wyrosły, a góry te strzelają dumnemi szczytami, hen w nieskończone błękity!

W pośród tych gór za bardzo dawnych czasów żył potężny Król Gór, mocarz nad mocarze, mający rozległe państwo i szeroką sławę, a bogactwa niezliczone. Mieszkał on na jednej wysokiej górze w niebotycznym zamku, pełnym przepychu, a pod zamkiem wśród gęstej kniei, rozlało się śliczne jezioro górskie.

A miał też Król Gór i córkę niezwykłej urody, imieniem Wiosna. Z jasnej jej główki spadały na ramiona długie jasne sploty, a z óczek jej błękitnych przebijał się wyraz dobroci i anielskiego serca. A gdy wychodziła w las pod wieczór nad przechadzkę, kłaniały się jej drzewa okoliczne i szeptały z cicha: „Jaka ona piękna!“ — a kwiatuszki polne i leśne gięły się pod jej stopy w pokorze, jakby się wstydząc, że nie mogą dorównać swą krasą i powabem ślicznej królewnie. A gdy swym dźwięcznym głosem zanuciła piosnkę, cichły wszelkie śpiewy ptasząt, gdyż one wsłuchane w śliczną melodję, wpadały w zachwyt.

W tym samym lesie pasał owce młody i nadzwyczaj urodziwy góralczyk i grywał ślicznie na swej czarodziejskiej fujarce. I grywał różne piękne piosenki, a las mu wtórował swym chóralnym basem, a ptaszki w gęstwinie prześcigały się w naśladowaniu tonów czarodziejskiej fujarki, a zwierzęta w kniei puściły się w pląsy w takt dźwięków fujarki.

I szedł on ze swemi owcami, aż zbliżył się pod gród królewski. Tam usiadł na brzegu cichego jeziora i grał w swym zapale, aż w późną noc, gdy księżyc swem ciekawem okiem zaczął przyglądać się z jasnego błękitu przez konary drzew — niezwykłemu zjawisku. A pasterz grał namiętnie coraz piękniejsze melodje, a echo niosło je wśród ciszy nocnej przez gęste zarośla i konary drzew, aż do okien ślicznej królewny

A królewna, leżąc w aksamitami wysłanem łożu, słuchała w zachwycie, a tony tej dziwnej muzyki rozbierały jej nerwy. Słuchała więc z ogromnem zajęciem bardzo długo, aż znużona spuściła głowę na poduszki.

Nazajutrz królewna wczesnym rankiem wyszła w kierunku jeziora, skąd pochodził wczorajszy, tak miły głos fujarki, gnana ciekawością, by zobaczyć sprawcę jej wczorajszej przyjemności. Jakoż ujrzała pod drzewem leżącą postać młodzieńca niezwykłej piękności oblicza. Na ten widok zadrżała, a w sercu swem uczuła jakiś lekki, błogi dreszcz.

W tejże samej chwili wstał i młodzieniec, rozbudzony chłodnym, orzeźwiającym wietrzykiem poranka majowego, a ujrzawszy przy sobie nadzwyczaj piękną postać kobiecą w bogatym stroju, zadrżał również i w sercu jego rozgorzała skra miłości do tego iście nadziemskiego zjawiska.

Góralczyk zbliżywszy się do królewny, pozdrowił ją uprzejmie; ona zaś podała mu rączkę swą bielszą od śniegu na przywitanie i na jej prośbę jak najchętniej usiadł koło niej i dobywszy fujarki, grał na

je po lesie i tysiącznem echem odbijał od drzew gęstwiny leśnej, skał i pieczar górskiej kniei.

Wiatr szumiał sobie w gałęziach drzew, woda w jeziorze szemrała z cicha, a odgłos jej szmeru odbijał się od drobnych listeczków lip, buków, grabów i olszyn przybrzeżnych; na niebie zaś roje gwiazd złotych migotały wesoło, aż wreszcie księżyc bladoczerwony, począł się uśmiechać.

Wśród tej ciszy nocy majowej siadywali oboje zakochani w upojeniu. Góralczyk, topiąc wzrok w prześlicznej królewnie, pieścił jej kształtną rączkę w swej dłoni, a serce biło mu szalenie. A wtedy zdało mu się, że widzi boginię otoczoną tą uroczą tajemniczością przyrody, a przytem czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Pił kielich słodyczy swego szczęścia i wtedy leciał w ogromną przepaść, przepaść rozmarzenia.

I od owego poranka schodzili się oboje codziennie wieczorem nad brzegiem jeziorka i tam pod rozłożystą lipą wspólnie siedząc, pędzili miłe chwile wiosny swego życia; on grał na swej czarodziejskiej fujarce, ona śpiewała cudne swoje piosenki.

Ona, mimo olbrzymiej różnicy stanowej, jaka dzieli pałac królewski od chaty biednego kmiecia — ona jedynaczka najbogatszego w świecie króla — pokochała całem sercem i duszą biednego góralczyka-pasterza. Z każdym dniem miłość ich wzrastała, bo miłość była szczera, serdeczna i gorąca, jaką być może tylko miłość pierwsza. I w cichej tajemniczej kniei przy świetle księżyca, szumie lasu, choralnym śpiewie ptasząt — upojeni aromatyczną wonią wiosennego powietrza, powtarzali swe miłosne zaklęcia, zwarci w serdecznym uścisku, spijali kielich słodyczy wiosny swego życia ze swych rumianych usteczek.

W tejże kniei mieszkała banda opryszków, słynna ze swych okrucieństw i rozbojów. Herszt tej bandy, dowiedziawszy się o piękności królewny, zapragnął pojąć ją w małżeństwo. Wysłał tedy swaty do króla z groźbą, że gdy mu nie da królewny za żonę, to zamek jego w proch rozbije.

Król jednakże wolał zginąć z córką razem, niż dać ją okrutnemu hersztowi.

Herszt napadł w nocy na zamek, a że wojsko było na wojnie, nie miał kto bronić króla i zamek po krótkim oporze znalazł się w ręku bandytów, którzy zamordowawszy króla, puścili się w pogoń za królewną, ta zaś dobiegłszy do jeziorka, widząc, że ujść przed sromotą nie zdoła, skoczyła w wodę i utonęła.

Góralczyk, widząc skakającą królewnę, boginię swego serca, w wodę rzucił się jej na ratunek, ale zaledwie zdołał zwłoki jej z wody wyciągnąć, a wtedy żałość jego nie miała granic.

I odtąd grywał, siedząc nad jeziorem u mogiły swej najdroższej, grywał z ogromnym bólem duszy, podobny do mary, obojętny dla świata.

Żałość jego była tak ogromna, że w niespełna miesiąc po swem zdarzeniu, na mogile swej najukochańszej złożył głowę do wiecznego spoczynku. Śmierć litując się nad jego bólem serca, złączyła go z królewną na wieki.

I odtąd corocznie wracają oboje kochankowie: pasterz-góralczyk Maj i królewna Wiosna, ubrana w zieleń, strojna w kwiecie, a on gra w polu, gra w lesie i pod niebem, a echo niesie w przestworzach śliczną melodję miłości. A tu na ziemi w przecudnych górach Karpackich wszystko żyje wesoło i oddycha pełną piersią rozkoszną wonią pól rodzinnych kraju ojczypiersią rozkoszną wonią pól rodzinnych.

Waw. Miesiączek.

Co to jest pocałunek?

Niema chyba człowieka na świecie, któryby albo sam nie otrzymał nigdy pcałunku, albo nigdy nikomu go nie udzielał. Jest to czynność tak znana i tak rozpwszechniona po całym świecie, że zdawałoby się, iż niewarto o niej mówić. A jednak niema na świecie nic takiego, o czem nie byłoby nic do powiedzenia. A więc i o pocałunku można mówić i można coś powiedzieć. Spróbujmy.

A więc materjalista powiedziałby o pocałunku, że jest to przykładanie do siebie czterech kawałków mięsa takie, jak się w innych okolicznościach do tych samych kawałków przykłada kapustę, ziemniaki lub inne potrawy. I miałby słuszność, bo tak jest w rzeczywistości. Ale inaczej powie o tem idealista, np. człowiek zakochany. On, całując, widzi w tem wypowiadanie swoich uczuć, których nawału usta jego w słowach pomieścić nie mogą. Jemu się zdaje, że przez pocałowanie wsącza niejako w drogą istotę ogrom swej miłości, na którą w mowie ludzkiej słów znaleść nie może. A matka, całując dziecię swoje, radaby przez ten pocałunek wlać w nie swojego ducha, umocnić je na wszystkie lata długiego żywota. Pocałunek jest więc tą niemą rozmową dusz, które lgną do siebie i które się miłują. I taki pocałunek jest rzeczą wprost cudowną, rzeczą przepiękną.

Ale są i Judaszowskie pocałunki, a są one wtedy, kiedy w nich brak serca, kiedy podczas nich główną rolę grają li tylko zmysły. I z takimi pocałunkami walczy nietylko Kościół, ale i niektóre państwa. I tak na początku zeszłego roku zakazano w Rzymie publicznego całowania się ze względu na wywoływanie w ten sposób publicznego zgorszenia. Za przykładem Rzymu poszła obecnie Rosja sowiecka, choć ta niewiadomo z jakiego powodu, gdyż tam o moralność zapewne im nie chodzi.

Zakazy te nie są jednak nowością. Już przed dziewiętnastu wiekami względy hygieniczne skłoniły Cezara Tyberjusza do wydania zarządzeń przeciw pocałunkom. Natomiast w drugiej połowie XV wieku i pierwszej XVI istniał w Anglji zwyczaj powszechnego całowania się. Powiada o tem kronikarz angielski, pisząc: „Gdziekolwiek się zjawisz, przez wszystkich przyjmowany jesteś pocałunkiem; jeżeli udajesz się w podróż, to żegnają cię pocałunkiem; wracasz z podróży do domu, wmieniasz pocałunki. Zaiste, dokąd się tylko zwrócisz, wszędzie istnieją tylko pocałunki".

Lecz pocałunki nie zawsze przynoszą przyjemność. Doświadczył tego na sobie angielski król Wilhelm IV, kiedy był jeszcze następcą tronu. W czasie podróży w Kanadzie ukradł całusa żonie golibrody, który go golił.

— Opowiedz swoim siostrom — rzekł wówczas następca tronu do owej niewiasty — że syn króla Anglji dał żonie amerykańskiego golibrody królewskiego całusa.

Zaledwie zdołał te słowa wypowiedzieć, gdy wściekły golibroda dał dostojnemu gościowi taki cios nogą poniżej pleców, że przyszły król angielski znalazł się momentalnie na ulicy.

— Opowiedz swoim ziomkom — zawołał za nim golibroda — że golibroda amerykański dał synowi królewskiemu, królewskiego kopniaka.

Czasem całus może wprowadzić w niemały kłopot nawet wytrawnego człowieka .Oto kroniki opowiadają o następującem zdarzeniu: Do pewnego rabina rosyjskiego zgłosił się młody człowiek i skarżył się, że został pocałowany wbrew swej woli przez młodą i

ładną pokojówkę. Rabin pogładził siwą czuprynę i zapytał:

— I tylko raz cię pocałowała?

— Oczywiście, tylko raz, gdyż broniłem się wszelkimi siłami — odparł młodzieniec.

— A czy pokojówka ta była piękna?

— Przepiękna! — odparł znowu młodzieniec. — I dlatego właśnie, że była tak piękna, proszę o karę. Tembardziej, że była tak piękna, iż myślałem już o zrezygnowaniu z obrony.

— A zatem dobrze — rzekł rabin po namyśle. — Zjesz za karę dwie wiązki siana.

Zdumiony młodzieniec spoglądał na rabina, gdy zbliżyła się żona rabina i rzekła:

— W takim razie powinieneś ukarać i pokojówkę.

— To zbyteczne — odpowiedział rabin. — Ona już jest i tak dość ukarana, że pocałowała takiego osła.

Teraz dopiero zrozumiał młodzieniec ów, dlaczego mu rabin kazał zjeść dwie wiązki siana.

Za całusy płacono nieraz wysokie ceny. Najwyższą jednak cenę osiągnął pocałunek aktorki angielskiej Maud Love. Było to w roku 1917. W czasie licytacji, urządzonej na rzecz rannych żołnierzy, puszczono na licytację całusa p. Love. Bankier Hutchinson zaofiarował jej 11 tysięcy funtów szterlingów, ale został przelicytowany przez księcia Albany, który dał 12 tysięcy funtów. Książę, zdobywszy pocałunek pięknej aktorki za tak wysoką cenę, odstąpił go swemu dziewięcioletniemu wnukowi.

Na zakończenie wartoby policzyć, ile też człowiek razy potrafiłby pocałować, względnie ile odebrać pocałunków. Ale to zdaje się byłoby rzeczą trudną, gdyż ci, którzy całują tylko z obowiązku, nie mieliby się czem pochwalić, ci zaś, którzy całują z porywu serca, najczęściej nie chcą się tem chwalić przed światem. Ale i pod tym względem posiadamy pewne dane, bo oto bohater hiszpańsko-amerykańskich wojen morskich, porucznik Hobson, rozsławił się jako oficer najbardziej wycałowany w historji świata. Za jego czyny nadzwyczajne ucałowało go publicznie 10 tysięcy Amerykanek. A ile potajemnie, o tem porucznik Hobson zapewne nikomu się nie przyznał.

A możeby tak która z Czytelniczek podała swoją statystykę do „Roli"?

Poradnik gospodarczy.

W tym czasie musi pszczelarz pamiętać, aby pień był utrzymany ciepło, gdyż przybywa tam z każdym dniem czerwiu, pnie wskutek cieplejszego powietrza dochodzą do wysokiej siły. Ponieważ pogoda w ostatnich tygodniach była bardzo brzydką, należało podawać wodę do uli, a nie pozwalać pszczołom wylatywać. Wiele bowiem z nich zginęło z zimna, a pień przez to bardzo się osłabiał. Zamykać jednak ule mogą tylko doświadczeni pszczelarze, i to tylko te, gdzie niema głodu; jeśli ktoś źle zapasy miodu obliczył, może stracić pień, a byłoby to wielkim wstydem po dobrem przezimowaniu pasieki.

W kwietniu pojawia się coraz więcej kwiatów. Zaczyna kwitnąć agrest, a tego po większych ogródkach nie brak. Agrest mioduje silnie, kwiat jego na długich szypułkach zwieszający się ku dołowi, nic sobie nie robi z deszczu i niepogody, a nektar, zawarty w kielichu agrestowego kwiatu, czeka tylko stosownej chwili, aby się oddać pszczółce.

Pszczoły też po pęknięciu pączków agrestu, wydzierają się formalnie z uli, aby zebrać ten pierwszy plon dla siebie. Teraz przybywa coraz więcej kwiatów: wiąz puszcza swoje zielone kwiatuszki, które bardzo miodują i dają dużo pyłku, pokazuje się na łąkach totan i złoć zwykła, topola, osika powiewają swemi baziowatemi kwiatami, a nakoniec pęka wiśnia, rozpoczynając nowy rok pszczelarza. Pożytku coraz więcej, więc i pszczół przybywa, siła pnia wzrasta przy troskliwości pszczelarza. Gdy pogoda dopisze już teraz mogą silne pnie zbierać pokaźną ilość miodu, a przecież to dopiero wstęp do kwitnienia sadów.

Aby mieć pożytek z pasieki, nie wystarczy zajrzeć do ula, podnieść, zabezpieczyć w miód do kwitnienia sadów, ale trzeba obmyślić, w jaki sposób na główny pożytek wyhodować największą siłę. Tak, jak w gospodarstwie rolnem, gdy przyjdzie czas zbiorów, im więcej robotników gospodarz wysyła, tem więcej i prędzej zrobią„ tak i w pszczelnictwie nie wystarczy wyprodukowanie silnych pni po pożytku, gdyż nam wtedy nic po nich, ale na sam pożytek, a wtedy zbiorą dużo miodu i dadzą wczesne roje, które nietylko się obrobią, ale jeszcze dochód dadzą. U nas zadawalniamy się ilością 2—5 kg. miodu z pnia, podczas, gdy dobrze prowadzona gospodarka może nam dać z tego samego pnia 10—30 kg.

Jeśli pnie bardzo osłabły wskutek niepogody kwietniowej, nie należy trzymać takich słabeuszów, ale złączyć po dwa razem, a będzie miód i roje. W przeciwnym razie nic z tego pasiecznik nie otrzyma, a jeszcze będzie musiał dodać w jesieni cukru na zimę

Zasadą w pszczelnictwie powinno być trzymanie tylko pni silnych. Aby takie otrzymać, służy do tego t. zw. podkarmianie spekulacyjne. W tym celu na 6 tygodni przed głównym pożytkiem należy rozpocząć podkarmianie sytą, tj. syropem, zrobionym z 1 kg. cukru, 2 kg. wody i trochę miodu; sytę taką należy podawać po ćwierć litra co wieczór. W ten sposób są pszczoły podniecone, matka silnie czerwi i, jeżeli postępować tak będziemy przez 6 tygodni, otrzymamy wielką siłę, z której, jako zysk, będziemy mieli dużo miodu lub roji.

Wskutek podkarmiania spekulacyjnego Amerykanie otrzymują z pnia przeciętnie 30—50 kg. miodu.

Słabe pnie są często napadane przez sąsiadów i rabowane. Nie trzeba więc nigdy naczyń, pozostałych z podkarmiania, zostawiać w ulu, nie można syty nieostrożnie rozlewać, lub zmiotków bezmyślnie zostawiać koło uli. Napad w pasiece może się szerzyć, jak pożar i wielu już pszczelarzy przez zbagatelizowanie napadu utraciło częściowo pasiekę.

Ważną jest rzeczą dla pszczelarza zorjentowanie się, które pnie w kwietniu nazywamy słabemi: otóż należą do nich te, w których pszczoły nie zakrywają przynajmniej trzech ramek. Takich to nie należy trzymać, ale łączyć z innym.

Do robót, które powinny być wykonywane w czasie pożytku, należy jeszcze usuwanie spleśniałych plastrów, omiatanie uli z pajęczyny, którą pająki rozciągają, by łowić nieostrożne pszczoły i podmiatanie pni przynajmniej dwa razy na miesiąc, aby usunąć wszystkie śmiecie, które są siedliskiem i wylężnią motylicy. Ponieważ jednak w śmieciach tych znajduje się dużo wosku, nie należy ich marnować, ale zbierać skrzętnie i później wytapiać z nich wosk.

Pszczoły w dnie słotne przytrzymuje się w ulu przez zasitkowanie, ale przy tem trzeba uważać, aby nie zatamować pszczołom przypływu świeżego powietrza.

Jan Matysik.

KRONIKA.

Od Redakcji. Coraz częściej zdarza się, że niektórzy z Czytelników nadsyłają nam cudze utwory, przepisane z jakiejś gazetki lub książki, i podpisują je swojem nazwiskiem, jak utwory własne. W ostatnich czasach otrzymaliśmy od trzech Czytelników jeden i ten sam wierszyk Marji Konopnickiej z podpisem przesyłającego a nawet zapewnieniem, że wierszyk jest układu przesyłającego. Dzieje się to jeszcze częściej przy zagadkach. Trudno, abyśmy znali wszelkie utwory, jakie kiedykolwiek ukazały się w druku, dlatego też może się zdarzyć, że taki korsarz literacki wprowadzi nas w błąd. Ale w takim razie cała odpowiedzialność spada nie na nas, ale na tego, kto podszywa się pod cudzą pracę. Czyn taki jest zwykłem oszustwem i kradzieżą i za czyn taki właściwy autor utworu może plagjatora pociągnąć do odpowiedzialności. Może się zdarzyć, że komuś podoba się cudzy utwór i chciałby, aby on był przedrukowany w „Roli", ale w takim razie powinien wyraźnie napisać, czyj to jest utwór i skąd wzięty, aby nas i Czytelników w błąd nie wprowadzać. Że spotyka to nietylko nas, ale i inne redakcje, dowodzi tego konkurs na humor jaki się ukazał w jednej z gazetek. Oto jeden i ten sam humor nadesłało 47 czytelników i wszyscy zapewniali, że humor ów jest ich układu. Ostrzegamy więc przed podobnem postępowaniem, które nikomu nie przynosi sławy, a tylko w najlepszym razie ośmiesza go.

W uznaniu zasług. W uznaniu zasług położonych na polu społecznem oraz literackiem i publicystycznem Rada ministrów postanowiła przyznać stałe zaopatrzenie z funduszów państwowych Wacławowi Sieroszewskiemu oraz Czesławowi Jankowskiemu. Pozatem przyznano również dożywotne zaopatrzenie matce Józefa Mireckiego (Montwił) p. Franciszce Mireckiej.

Plaga wilków w Karpatach. Wskutek bezśnieżnej zimy polowanie na wilki było w tym roku niesłychanie utrudnione. W Karpatach, gdzie wilki czynią szczególne szkody w zwierzostanach jelenich, nie można polować na nie z obławą wskutek trudności terenu. Jedynym sposobem polowania są żelaza. Tymczasem niedźwiedzie przychodzą częstokroć do zastawionej w żelaza przynęty i zamykają ją, rzucając kawały łomu drzewnego, poczem spożywają padlinę. W ten sposób w Skolszczyźnie jeden niedźwiedź w ciągu zimy zatrzasnął kilkadziesiąt żelaz. Utrudnia to niesłychanie walkę z wilkami.

Tragiczna pomyłka. Z Krotoszyna (Poznańskie) donoszą, że w Wielką Sobotę w nocy służący gospodarza Sperzyńskiego z Perzyc zabił wystrzałem z fuzji brata tegoż Stefana z Krotoszyna, mniemając że to złodziej.

Potworna matka. Okropny wypadek, przerażający ohydą i wyrafinowaniem, zdarzył się onegdaj we wsi Wiktorów, koło Stanisławowa. Tło jego przedstawia się następująco: W gminie tej mieszkała wieśniaczka Anna Sawczuk, której mąż umarł niedawno, pozostawiwszy synka, liczącego obecnie lat 9. Był ubogi, posiadał zaledwie chatę i 3 morgi pola, które umierając zapisał swemu potomkowi. Żona zgodziła się na dożywotnie utrzymanie, rychło jednak potem znudziło jej się samotne życie, to też postanowiła wyjść zamąż. Ponieważ jednak wiedziała, że trudno znaleźć męża, gdy się żadnego wiana nie przynosi, w głowie jej powstał plan usunięcia ze świata własnego syna, ażeby tą drogą dojść do owych trzech morgów pola. Toteż w odpowiednim momencie, gdy dziecko zupełnie niczego się nie spodziewało, zadała mu z całej siły cios tempem narzędziem w prawy policzek, który pozbawił go przytomności. Następnie omdlonego syna wrzuciła głową na dół do beczki pełnej ropy solnej, powodując wkońcu jego uduszenie. — Policja wpadłszy na trop tej ohydnej zbrodni, rozpoczęła natychmiastowe dochodzenia, rezultatem czego było ujęcie wyrodnej morderczyni i odstawienie jej do aresztów sądowych w Stanisławowie.

Ładny młodzieniaszek. W sądzie dla nieletnich w Łodzi rozpatrywana była sprawa 13-letniego Stanisława Zielińskiego, oskarżonego o kradzież chodników, które wycinał w klatkach schodowych. Po wyroku, skazującym Zielińskiego na 6 miesięcy więzienia, z zamianą na dom poprawy w Studzieńcu, skazany porwał ze stołu sędziowskiego metalowy krucyfiks i rozmachawszy się rzucił go w stronę sędziego. Sędzia zorjentowawszy się w sytuacji, pochylił głowę w bok, tak, że uszedł ciosu. Krucyfiks rzucony całą siłą uderzył o ścianę pokoju i połamał się na kilka części. Wypadek nastąpił tak nagle, że stojąca w pobliżu policja nie zdążyła zareagować i dopiero po wypadku rzuciła się na chłopca, ubezwładniając go. Zieliński karany już był poprzednio pięciokrotnie za kradzież. Strach pomyśleć, co z takiego chłopca wyrośnie! Zapewne nic innego, jak kandydat na szubienicę.

Przyjazd prymasa Anglji do Polski. Dnia 7 maja przybywa do Polski prymas Anglji, arcybiskup westminsterski kardynał Bourne. W towarzystwie kard. Kakowskiego uda się on do Łowicza na uroczystość św. Stanisława, na którą ściągają tam corocznie pielgrzymki z całego łowickiego.

Burza nad Kijowem. Donoszą z Kijowa, iż nad miastem rozpętała się gwałtowna burza, w czasie której kilkanaście piorunów uderzyło w śródmieście. Jeden z nich trafił w słynny sobór Sofijski, stapiając i niszcząc część z jednej z kopuł. Pierwsza burza wiosenna była tak gwałtowna, iż w ciągu kilku godzin musiano powstrzymać ruch tramwajowy.

Bunty chłopskie na Ukrainie. Na terenie Ukrainy sowieckiej szerzą się coraz bardziej wśród włościan rozruchy na tle niezadowolenia z istniejących rządów. Za najgroźniejsze uważane są gubernje: chersońska, czernichowska i połtawska, które stały się terenem poważnych zaburzeń. Do tłumienia ich użyte zostały oddziały armji czerwonej. Komisarz ludowy wojny w Moskwie otrzymał raport dowódcy wojennego okręgu lewobrzeżnej Ukrainy, Uborowicza, w którym komunikuje on, iż sytuacja jest bardzo niepomyślna, zwłaszcza ze względu na sympatje, jaką niektóre oddziały armji żywią wobec band powstańczych. Armja daje się jedynie bardzo niechętnie używać do tłumienia rozruchów włościańskich, pewne zaś oddziały G. P. U. nie wystarczają. Nic dziwnego, że chłopi ukraińscy buntują się przeciwko władzy bolszewickiej, gdyż cierpliwość ludzka ma także swoje granice. To jednak dziwniejsze, że tak liczny naród znosił dotychczas krwawe rządy komunistów.

Wesoły spis ludności. Jak wielka panuje ciemnota wśród ludu rosyjskiego, świadczy o tem wymownie przeprowadzony tam niedawno spis ludności. Oto ludność ta, szczególniej w gubernjach charkowskiej i wiackiej nie chciała poddać się spisowi, gdyż utrzymywała, że spis ten odbywa się z rozkazu Antychrysta, który wraz ze swymi uczniami przykładać będzie swą pieczęć podczas spisu na plecach każdego obywatela, aby tym sposobem zaznaczyć, że człowiek ten jest odtąd jego własnością. Podczas spisu ludności dochodziło bar-

dzo często do nader pociesznych wydarzeń. Na kwestjonarjuszach odpowiadano często na pytanie co do rodzaju zawodu — „złodziej". Jeden z naiwnych obywateli na pytanie powyższe odpowiedział w sposób następujący: „Wsuwam rękę do cudzej kieszeni — no i z tego żyję". Nieraz zdarzało się, iż komisarze konskrypcyjni musieli rejestrować małżeństwa, składające się z jednego małżonka i dwóch żon. Tak np. w pewnem mieście prowincjonalnem obywatel jeden żył z dwoma żonami: jedną starszą a drugą młodziutką. Choć starsza z nich była zarejestrowana w urzędzie małżeństw i była matką 6 dzieci, żądała z całą stanowczością, by komisarz konskrypcyjny wpisał ją na listę jako pannę. Podobnych wypadków było bardzo wiele. Zdarzało się też, że urzędnik konskrypcyjny przychodził do jakiegoś d mu w chwili, kiedy odbywała się tam uczta weselna, lub inna jakaś uroczystość. Zebrani częstowali wówczas urzędnika wódką, stawiając mu jednocześnie „ultimatum": „Jeśli będziesz pił, wszystko co powiemy, a jeśli nie, nie dowiesz się niczego". Takich i tym podobnych wypadków było dużo. Zaznaczyliśmy tylko niektóre, a i te dobrze charakteryzują ciemnotę ludu rosyjskiego.

Rumuński Rinaldo Rinaldini. W południowej Bukowinie grasuje od jakiegoś czasu groźny bandyta nazwiskiem Niculica. Wszelkie wysiłki żandarmerji nie doprowadziły dotąd do aresztowania go. W ostatnich dniach w pobliżu Dorna-Watry miał król bandytów zamiar obrabować kasę tartaków Götza — dowiedział się bowiem, że na drugi dzień miała nastąpić wielka wypłata dostawców kloców drzewnych. Żandarmerja dowiedziała się wczas, że Niculica ukrywa się ze swoją bandą u chłopa w pobliżu wioski Arin. Wobec tego, że chytrość i nadzwyczajna ostrożność bandyty jest dziś przysłowiowa, otoczono w nocy w największej ciszy dom owego chłopa. Niculica połapał się przecież i zwęszywszy, że powietrze nieczyste, wystrzelił w powietrze kilka rakiet, które oświetliły,całą okolicę i wskazały położenie nieprzyjaciela. Następnie banda jego rzuciła kilkanaście granatów ręcznych w szeregi żandarmów. Wśród popłochu i zaciętej walki, podczas której padło dużo strzałów karabinowych i maszynowych, udało się hersztowi znowu z całą bandą ujść w ciemnościach nocy i skryć się w niedostępnych lasach gór karpackich. Żandarmerja aresztowała całą masę chłopów, którzy ukrywali i gościli u siebie Niculica. O jego aktach terroru, przygodach i dobrych czynach krążą wśród ludu legendy. Jest to wzór bandytów: ograbia bogatych, wspomaga biednych, dla dam jest uprzejmy, dla ograbionych litościwy. Młody ten człowiek, pochodzący z Dorna-Watry, gdzie nawet chodził przez pewien czas do gimnazjum, swego czasu zamordował żandarma i od tej pory wszedł na drogę walki z wykonawcami pisemnego prawa. Zgromadziwszy garść odważnych zuchów, którzy również nic nie mają do stracenia, utrzymuje wśród nich żelazną dyscyplinę. Cieszy się on cichem poparciem ludności wiejskiej, gdyż dochody ze swych łupieskich wypraw rozdziela między ubogich. Okolica, w której grasuje Niculica, górzysta, pełna jarów, wąwozów i dzikich borów, stanowiąca południową część Bukowiny, granicząca z Siedmiogrodem, jest idealnym terenem napadów i daje bezpieczne schronienie przed pościgiem.

Oblężeni przez krokodyle. Ciekawą przygodę opowiada członek policji angielskiej w Południowej Afryce, niejaki Lavrence, który z drugim jeszcze strażnikiem, Zulusem, stacjonowany był w Odżi, w kraju Maszonów, posterunku zupełnie odciętym od świata. Obaj kąpali się w rzece Odżi, strumieniu szerokiem i głębokiem, w którego środku wynurzała się z wody naprzeciwko strażnicy ławica piaskowa. Pewnego razu, o 5 rano, kąpali się obaj strażnicy jak zwykle w rzece. Obaj mieli na głowie szerokie hełmy policyjne, gdyż pod tą szerokością geograficzną nawet wczesny poranek jest bardzo gorący. Dopłynęli aż do ławicy piaskowej, kiedy zaś wracali, zauważył nagle Lavrence wielki kloc drzewny, czy też wywróconą łódź krajowców, płynącą w dół rzeki z prądem. Towarzysz kąpał się w dalszym ciągu. Lavrencowi zdawało się w pewnej chwili, że kloc zwrócił się nieznacznie w jego kierunku. Przyglądnąwszy się lepiej, zauważył, że nie jest to kloc, ale największy krokodyl, jakiego zdarzyło mu się dotychczas spotkać. Krzyknął i kolega jeszcze na czas wycofał się na ławicę. Był to moment bardzo krytyczny, gdyż jak się okazało, nie był to jeden krokodyl, ale całe trzy sztuki, które poczęły wyłazić na ławicę, otwierając szeroko paszczę, przyczem straszliwe kły błyszczały w słońcu. Obaj policjanci byli nieuzbrojeni i skutkiem tego wydani na łaskę i niełaskę potworów. Lecz Lavrence nie stracił przytomności umysłu, i podjąwszy garść piasku i kamyków, rzucił niemi najbliższemu krokodylowi w oczy. Oślepiony chwilowo płaz odwrócił się i rzucił głową naprzód do wody, a za nim spłoszeni dwaj jego towarzysze. Potwory nie dały jednak za wygraną i starały się ciągle na nowo wyłazić z wody w różnych miejscach.



Po trzech godzinach takiego oblężenia omdlał kolega z pragnienia i zmęczenia. Nasz bohater, o ile się tylko dało, przykrył towarzysza piaskiem, żeby go uchronić przed morderczemi promieniami słońca i straszliwemi kłami krokodyli. Na szczęście po czterech godzinach oblężenia zjawił się na brzegu jakiś murzyn, który zrozumiał odrazu położenie i celnym wystrzałem z karabinu położył trupem największego potwora, potem zaś przyjechał łódką do ławicy i odwiózł ledwie żywych strażników do domu.

Tunel pod Gibraltarem. Utworzyło się potężne Towarzystwo międzynarodowe, które zamierza przystąpić do wykonania jeszcze w r. 1918 opracowanego planu, a polegającego na przeprowadzeniu podmorskiego tunelu w cieśninie Gibraltarskiej na morzu Śródziemnem. Przekop długości 25 klm. prowadzić będzie od hiszpańskiej Teneryfy aż do marokkańskiej Ceuty, odległość tę przebywać będą pociągi w przeciągu 20 minut. Dokonanie dzieła, na tak olbrzymią skalę, zakreślonego i mającego kosztować 250 miljonów franków złotych, wymagać musi dłuższego czasu, kalkulacja jednak handlowa tego przedsiębiorstwa przedstawia się nader korzy-

stnie, co skłania finansistów do uznania planu za realny.

Automatyczna fotografja. Jeden z syndykatów nowojorskich kupił od pewnego Rosjanina oryginalny wynalazek. Jest to automat fotograficzny, z którego za wrzuceniem drobnej monety wyskakuje fotografja w dowolnie obranej pozie. Za wynalazek ten konsorcjum zapłaciło Rosjaninowi miljon dolarów.

Przymusowe małżeństwo. Francja, jak wiadomo, coraz bardziej się wyludnia z powodu małej ilości dzieci. Aby temu zaradzić, w Towarzystwie „Ochrony rasy francuskiej" powstał sensacyjny projekt, który znalazł wielu zwolenników wśród patrjotów francuskich i stał się przedmiotem żywych dysput. Ze szczególną pasją zwalczają go Francuzki, nazywając pomysł barbarzyństwem. Twórca projektu Dr Betuel, przyszedł do przekonania, iż żadne środki nie są w stanie zapobiec wyludnianiu się Francji, skoro kobiety nie chcą wydawać na świat dzieci. Trzeba więc je zmusić do spełnienia obowiązku patrjotycznego. Ród męski ujęty jest w surowe karby organizacji wojskowej. Od każdego Francuza wymaga ojczyzna, aby przelewał swą krew i ginął na polach bitew. Ustawodawstwo nie nakazuje kobietom umierać za Francję, natomiast musi im nakazać macierzyństwo dla Francji. W tym celu Dr Betuel opracował projekt następującej ustawy. 1) Każda obywatelka francuska po ukończeniu 21 roku życia odbyć musi dziesięciomiesięczną służbę dla państwa. 2) Uznana przed komisję lekarską za zdolną do macierzyństwa, poślubi jednego z przedstawionych sobie trzech kandydatów. Zwolnioną od wyboru może być ta obywatelka, która przedstawi własnego kandydata, zatwierdzonego przez komisję lekarską. 3) Od chwili zaślubin pozostaje obywatelka przez 10 miesięcy skoszarowaną, otrzymuje ubranie, jedzenie, mieszkanie i ścisłą opiekę lekarską. 4) Jeśliby w przeciągu 10-ciu miesięcy nie została matką, pobyt w koszarach przedłużony będzie na następny okres. 5) Uchylanie się od obowiązku wydania na świat dziecka karane będzie w ten sam sposób, jak dezercja z pola bitwy, to znaczy: aż do kary śmierci włącznie.

Wolne od służby dla państwa będą te obywatelki, które przed 21 rokiem życia zostały matkami. Dr Betuel przewidział trudności natury finansowej, złączone z macierzyństwem. A zatem wedle projektu kobiety będą mogły oddawać swe dzieci do przytułków lub otrzymywać będą uposażenie, wystarczające na wyżywienie siebie i dziecka.

U nas jeszcze nie trzeba przymusu, bo i tak dzieci mamy poddostatkiem.

Żywcem pochowany. Na wyspie Brazza w Dalmacji pochowano na wsi pewnego chłopa. Ludność szeptała, że coś na jego grobie straszy. Byli tacy, którzy słyszeli jęki, dochodzące z głębi grobu, a nawet wołania o pomoc. Po roku wybierano w sąsiedztwie tego grobu grób drugi i wtedy zobaczono, że wieko trumny było odchylone, a w trumnie leżały zwłoki owego chłopca w pozycji skurczonej z pogryzionemi rękami i strasznie wykrzywioną twarzą. I wtedy dopiero zrozumiano, że pozornie zmarły obudził się w grobie z letargu i wołał o ratunek. Nikt jednak nie pospieszył z pomocą.

Najmniejsze państwo na ziemi. Najmniej zaludnionem państwem jest Tritao da Cunha, liczba bowiem jego mieszkańców nie przekracza setki. Mała ta wysepka o powierzchni 80 km. kwadratowych, leżąca pośrodku oceanu, od najbliższego punktu Afryki jest oddalona o 2.950 klm. W samym środku wyspy wznosi się wulkan, na którego szczycie drzemie małe jeziorko. Wysokie urwiste i niedostępne skały otaczają całą wyspę. Nazwę swoją zawdzięcza wyspa żeglarzowi Tristao da Cunha, który odkrył ją w r. 1506 w drodze do Ameryki. W r. 1656 przybyli tam Holendrzy. Jedynemi mieszkańcami wyspy były wówczas foki i pingwiny. Zdawało się, że nigdy nie była zamieszkaną. Pierwsi osadnicy nie utrzymali się, nie znaleźli bowiem żadnych środków do życia. W XVIII wieku w ślad Holendrów poszli Francuzi, zaś na początku XIX stulecia Anglicy. Ale wtedy wyspa była już zamieszkała. Osiadł tam pewien awanturnik amerykański, Lambert, w poszukiwaniu złotego runa wraz z kilkunastu towarzyszami. Tych 20 Robinsonów stanowi rdzeń dzisiejszych Tristanistów. W ciągu XIX wieku liczba mieszkańców wzrasta o kilkunastu rozbitków angielskich i amerykańskich, którzy wraz z pierwotnymi mieszkańcami prowadzą żywot iście spartański. Bo też nie opływają w dostatek mieszkańcy Tristao da Cunha. Wyższość jednak mają tę nad Europejczykami, że nie płacą żadnych podatków. I to najdziwniejsze, przywiązani są tak bardzo do tej niewdzięcznej ziemi, iż na kilkakrotne propozycje angielskie, przesiedlenia się do innej kolonji odpowiadają: „Wolimy tu umrzeć z głodu!" Tristao da Cunha odznacza się jeszcze tą osobliwością, że nie istnieje tam żadna forma rządu: każdy tam jest samowładnym panem, a mimo to zupełna zgoda i ład panują.



Zmyślność psów policyjnych.

Jednem z „najzdolniejszych" zwierząt jest bezsprzecznie pies, który często swą zmyślnością przewyższa człowieka. Psu rozum zastępuje niejako doskonały węch, zapomocą którego odkrywa on rzeczy, o odkrycie których człowiek ani pokusić się może. Szczególniej pod tym względem odznaczają się psy policyjne, które, obwąchawszy miejsce zbrodni, idą za węchem trop w trop za zbrodniarzem, póki go nie odszukają i nie wydadzą w ręce władz. Na naszym obrazku widzimy trzy momenty z życia psa policyjnego. Na pierwszym widzimy psa, który odkrył zbrodniarza, na drugim pies ów trzyma swą ofiarę kłami, na trzecim ściga uciekającego opryszka.

RZECZY CIEKAWE.

Co jedzą Chińczycy?

Chińczycy są przeważnie wegetarjanami, gdyż religja ich zakazuje spożywania mięsa. Głównem pożywieniem Chińczyków jest ryż, który jednak przygotowuje się w Chinach zupełnie inaczej, niż w Europie. Chińczycy znają specjalny sposób duszenia ryżu, nadający potrawie tej znakomitego smaku. Do ryżu je się w Chinach ryby i jarzyny. W Chinach północnych głównem pożywieniem jest t. zw. kaulian, coś w rodzaju kaszy jaglanej. W wielkich ilościach konsumują Chińczycy również groch i fasolę.

W miastach chińskich, gdzie ludność nie przestrzega tak ściśle przepisów religji, je się również potrawy mięsne, w pierwszym rzędzie wieprzowinę i wszelkiego rodzaju drób.

Do najlepszych przysmaków chińskich należą tak zwane „stuletnie jajka". Są to kacze jajka, przechowywane w glinie w ten sposób, że powietrze niema do nich dostępu. Po upływie kilku dni żółtko takiego jajka zielenieje, a po miesiącu staje się czarne. Innym znów przysmakiem chińskim jest suszony drób, przypominający nasze mięso wędzone.

Cińczycy spożywają z wielkim apetytem nietylko najrozmaitsze rodzaje żab, ale również gąsienice i poczwarki jedwabników, dalej pletwy i żołądek wielorybów — wszystko to ze specjalnym, słodkim sosem. Warstwy mniej zamożne, które sobie na podobne łakocie pozwolić nie mogą, zadawalniają się pieczenią z psa, lub kota, a nawet szczurów i myszy.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że specjalnością kuchni chińskiej są ptasie gniazda, które sprowadza się dla bogaczy chińskich z wysp wschodnio-indyjskich. Są to właścwe śliny pewnego gatunku jaskółek.

Bardzo rozpowszechnionem w Chinach pożywieniem są najrozmaitsze owoce, spożywane bądź to w stanie surowym, bądź też w postaci kompotów i konfitur.

Chińczycy nie jedzą wcale masła i sera, nie uznają też mleka, jako napoju. Jedynie na północy, w Mongolji, pije się mleko, a i to nie czyste, lecz z wódką i cukrem.

Narodowym napojem Chińczyków jest herbata, którą piją w Chinach bez cukru. W Mongolji herbatę miesza się z mlekiem, masłem, śmietaną, mąką i solą, a do otrzymanej w ten sposób mieszaniny wrzuca się kawałki pieczonej baraniny. Zdaniem Mongołów, jest to najsmaczniejsza potrawa, jaka egzystuje na świecie.

Wina Chińczycy do niedawna nie znali, ostatnio jednak w Chinach coraz bardziej rozpowszechnia się rozmaite gatunki importowanych win europejskich, głównie słodkich.

Rekord kokieterji.

Powszechnie utrzymują, że Francuzki mają najwięcej kokieterji i największą wagę przykładają do swego stroju i wyglądu. Że są najelegantsze, niema co do tego żadnej wątpliwości, ale jeżeli idzie o kokieterję, to rekord w tym względzie osiągnęły Amerykanki. W żadnym kraju na świecie nie poświęcają kobiety tyle czasu i pieniędzy swojej powierzchowności co w Stanach Zjednoczonch. Różne „Instituts de beaute" rosną tam jak grzyby po deszczu. Na kąpiele elektryczne, borowinowe, parowe, świetlne, oraz różne chirurgiczne zabiegi wydawane są ogromne pieniądze, a kobiety nie cofają się nawet przed bardzo bolesnemi operacjami. Amerykańska piękność każe sobie bez namysłu wyciąć pas skóry na czole, aby usunąć zmarszczki. Dla uzyskania świeżej cery daje sobie nakłuwać skórę elektrycznemi igłami, przez nerwy przepuszcza prąd elektryczny, a jeżeli ma małe rzęsy, to je poprostu daje wszywać, mimo dotkliwego bólu, jaki jej to sprawia. Kuracja odmładzająca kosztuje Amerykankę 2.500 dolarów rocznie, a ogłoszona niedawno statystyka wykazała, że piękności Stanów Zjednoczonych wydają rocznie na pudry, szminki i inne środki upiększające z górą trzydzieści miljonów dolarów. Przeciętnie wydaje Amerykanka na swoją urodę trzy razy tyle co na jedzenie. Jest to istotnie rekord, ale niezbyt zaszczytny. U nas są panienki i niewiasty zamężne, które dość dużo ponoszą trudu nad swem upiększeniem, ale należą one do rzadkości, gdyż i tak Polki są może nietyle najpiękniejszemi, co najmilszemi kobietami na świecie.

Zielona krowa.

Wybitny botanik amerykański, Samuel Record urządził wyprawę naukową do Hondurasu i Guatamali, celem zbadania tamtejszych dżungli. Spędził tam 4 miesiące, nie przesławszy ani jednego sprawozdania, otulając się w tajemnicze milczenie, które przerwał obecnie senzacyjnem sprawozdaniem.

W lasach Ameryki Środkowej odkrył mianowicie drzewo, dające — mleko! Pewnego dnia kazał 6 drwalom, którzy towarzyszyli wyprawie, ściąć drzewo, którego nie mógł w żaden sposób rozpoznać. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zaraz po pierwszych uderzeniach siekierą wytrysnął nagle z pod kory strumień białego płynu. Drwale nie byli bynajmniej zdziwieni i dziwili się raczej zdziwieniu badacza. Nie zwlekając też, poczęli pić z naturalnego źródła, które wyschło zaraz. Oświadczyli przytem, że drzewo to w języku krajowców nazywa się „zieloną krową". Uczony stwierdził, że smak mleka tej „zielonej krowy" nie różni się w niczem prawie od mleka normalnego. Stwierdzono też, że drzewo takie zawiera nieprawdopodobne ilości mleka. Uczony żałuje, że nie mógł przewieźć całego drzewa i musiał się zadowolić tylko gałęziami i liśćmi, które oddał do muzeum.

Uczeni przypominają, że już Humboldt z początkiem XIX stulecia wspomina również o podobnem drzewie, że jednak mleka tego nie skosztował, jakkolwiek smakowało ono towarzyszącym mu krajowcom. W 50 lat później potwierdził odkrycie Humboldta amerykański badacz Henri Pittier w Kostaryce.

Niedługo więc zamiast trzymać krowy w oborach będziemy hodowali drzewa koło obór, chyba, żeby się te „zielone krowy" u nas nie zaaklimatyzowały.

Ile lat człowiek prześpi:

Gdyby komuś powiedzieć, że przespał 20 lat, toby ruszył ramionami, jak przed warjatem. A jednak... pewien Anglik obliczył (bo czego oni nie obliczają), że człowiek liczący 60 lat życia, przesypia lat 20.

Liczy on dzień w ten sposób: 7 godzin pracy, 1 i pół godziny na jedzenie, 3 godziny rozrywki, 2 i pół godziny ruchu, 1 godzinę na toaletę, 1 na ubranie, a 8 godzin na spanie.

W ciągu lat 60 te 8 godzin snu codziennego uczynią lat 20. Na właściwą pracę przypadło 17 i pół roku.

Tak oblicza Anglik; nie wszyscy jednak mają czas na rozrywki, ruch i na toaletę. Ci z pewnością dlatego więcej lat poświęcają pracy, a mniej prześpią.

Ów Anglik obliczył nadto, że człowiek w jednym roku wypowiada 11 miljonów 800 tysięcy słów, — w

tym samym czasie otwiera i zamyka swe oczy 95 miljonów razy, więc siła wytworzona przez ruch ust przy mowie i przez otwieranie i zamykanie oczu w ciągu lat 60, podniosłaby do wysokości 10 stóp wóz tramwajowy, zapełniony publicznością.

Ponura statystyka.

Według ostatnich obliczeń, jedna czwarta ogólnej liczby ludzi umiera przed 7-ym rokiem życia, połowa zaś nie przekracza 70-ciu lat. Na 100.000 ludzi tylko jeden dosięga 100 lat; na 500 — jeden 90 lat; na 100 — jeden 60 lat. Rocznie umiera 33 miljony ludzi; dziennie — 90.411, w ciągu godziny — 3.767, podczas minuty — 63. Tak więc kochany czytelniku od chwili, gdy zacząłeś czytać statystykę, umarło już na kuli ziemskiej kilkunastu ludzi.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Józef Serafin z M.: Dziękujemy — zamieścimy w najbliższych numerach. — **Herman Tadanier** w L.: Zagadki zbyt łatwe. — **Gabrjel Wirstnik** w Szcz.: Humor zamieścimy. O poprzednio nadesłany obraził się jeden z czytelników, twierdząc, że z niego jeszcze gospodyni pierzyny nie ściąga. — **Jan Stańda** w W.: Czy nadesłane podanie jest układu Pańskiego, czy nie, gdyż tego Pan wyraźnie nie zaznaczył. Po otrzymaniu odpowiedzi wydrukujemy. — **Waw. Miesiączek:** Dziękujemy — będzie. — **Mikołaj Krawczyk** w Ż. „Sonety“ zupełnie dobre. Będziemy się starali umieścić je wkrótce. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Nadesłane utwory zupełnie dobre. — **Rudolf Wojdyła** w R.: Dziękujemy bardzo, a prosimy nadal zjednywać nam prenumeratorów a „Rola“ będzie coraz lepiej stawać na nogi. Gdyby każdy prenumerator pomógł wydawnictwu w ten sposób co Pan, wypadłoby to bardzo na korzyść samych czytelników „Roli“. Są miejscowości duże, do których „Rola“ dociera tylko w ilości 1 egzemplarza, i w takiej okolicy przy odrobinie chęci dany prenumerator mógłby dużo zdziałać. Pozdrawiamy wzajemnie. Cześć! — **Stanisław Wajda** w R.: Prenumerata na II kwartał wyrównana, na III kwartał pozostaje 18 groszy. — **Mieczysław Przybyłowicz** w N.: Prosimy donieść nam, jeżeliby to zastępstwo nie przychodziło. — **Jan Borkowski** w Z.: Prosimy o podanie bliższego adresu. — **Piotr Stanio** w S.: W tej sprawie prosimy się zwrócić do prof. Dra Bujwida, Kraków, ul. Lubicz 34. — **Prenumerator** pytający się o kupno blachy miedzianej: Prosimy w tej sprawie zwrócić się do firmy Góreckiego, Kraków, Rynek. — **Karol Weszka** w B.: Za jednanie prenumeratorów dziękujemy — wysłaliśmy. — **E. Skaczelowa** w K.: 100 kor. cz. otrzymaliśmy — wysłaliśmy pismo do Pani.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 kwietnia b. r.

Pszenica	55·00—56·00	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto	46·00—47·00	Ziemniaki stoł.	12·00—13·00
Owies	38·00—39·00	Koniczyna nasienn. czer.	430·00—440·00
Jęczmień	38·00—39·00	Mąka pszen.	91·00—93·00
Groch zwyk.	45·00—50·00	Mąka żytnia	70·00—71·00
Fasola biała	53·00—57·00	Otręby żytnie	28·50—29·50
Łubin żółty	31·00—33·00	Otręby pszen.	28·50—29·50
Siano słodk.	10·50—11·00	Pęcak zwycz.	54·00—55·00
Koniczyna	16·00—18·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Okładki na „Rolę“ są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/1927 jak również ze złoconymi ornamentacjami.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Mieczysław Woźniczka z T.)

■ ☆ ☆ ■ Inaczej sklep.
■ ☆ ☆ ■ Część ciała (w 2 p. l. p.)
■ ☆ ☆ ■ Dochód.
■ ☆ ☆ ■ Narząd zmysłu.
■ ☆ ☆ ■ Sprzęt domowy.
■ ☆ ☆ ■ Zdrobniałe imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ■ Wspak 3. os. l. p. czasownika.
■ ☆ ☆ ■ W pobliżu.
■ ☆ ☆ ■ Okrzyk nad wodą.
■ ☆ ☆ ■ Ogród w mieście (wspak).
■ ☆ ☆ ■ Ziemie uprawne.
■ ☆ ☆ ■ Nagroda dla zwycięscy.
■ ☆ ☆ ■ Żołnierz.
■ ☆ ☆ ■ Kwiaty.
■ ☆ ☆ ■ Instytucja finansowa.

Początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, dadzą imiona i nazwiska dwóch sławnych odkrywców.

2. Szarady.

(Ułożył Wł. Ptasiński z B.)

Pierwsze to dzieciom służy do żegnania.
Pierwsze, i drugie do tytułowania,
Pierwsze i trzecie łatwo odgadniecie,
Gdy zboże dobrze przechować chcecie.
Zaś całość w każdej wojnie się spotyka,
Gdy wszystko w bezładzie co siły umyka.

II.

(Ułożył Wirstnik Gabrjel z Sz.)

Pierwsze mówi małe dziecię,
Gdy cię żegna, lub dziękuje,
Drugie matka swoje dziecię,
Kiedy grzecznie się znajduje!

Trzecie służą dla sportowców,
Czy turystów, lecz zimowych.
Całość jeden z czytelników,
Mistrz zagadek szaradowych.

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z S.)

Wprost rzeka i wspak rzeka,
Lecz jedna od drugiej daleka.

II.

Czy to wprost czy wspak czytamy,
Zawsze imię żeńskie mamy.

4. Tajemniczy bilet.

Wiktor Polenarys

Odgadnąć zatrudnienie tej osoby.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 8 maja. Znaczenie zagadek z Nru 16 „Roli“: 1. Logogryf: Koniec dzieło chwali. — 2. Szarady: I. Pa-pie-ro-śni-ca. II. Gra-ma-ty-ka. — 3. Zagadki: I. Lucerna. II. 1) Żer-omski, 2) Chol-lera, 3) Pa-ser. — 4. Zagadka konikowa: „Rozszerzajcie rolę ile macie siły, by jej słowa kraj nasz cały, corychlej zwiedziły“.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Gabrjel Wirstnik z Szcz., Stefan Reuss z K., Władysław Gleń z M., Józef Kaizer z W. G., Wawrzyniec Rzepka z O., Edward Cygan z B., Wincenty Flis i Tadeusz Sroka z L., Jan Hurkała z Szcz., Walerja Paduchówna z D., Florjan Ciebiera z Rż., K. Kasłowski z K., Jan Figiel z D.

Nagrody wylosowali pp.: Florjan Ciebiera z Rz i Jan Figiel z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Babcia babci.

— Pozwoli pan, panie Henryku, że przedstawię pana mojej babci...

— Babci? Ktoby uwierzył, patrząc na panią, że pani już ma babcię!...



Niewesoło.

— Gdzie byłeś wczoraj?
— Na ślubie.
— Wesoło było?
— Piekielne nudy.
— Kto się żenił?
— A ja.



...Panna bardzo sympatyczne, ale tak zezuje, że kiedy płacze, to jej łzy z za uszu ściekają...

Dał się poznać.

Na platformie tramwaju stoi, a właściwie chwieje się jegomość z błędnym wzrokiem i bardzo niezdecydowanemi ruchami. Słowem pijaniusieńki. Wywiązuje się rozmowa z konduktorem:

— Panie, czy pan widział jak ja wchodziłem do tramwaju?
— Widziałem.
— A pan mnie zna?
— Nie.
— No to... skąd pan wie, że to ja?



Strasznie ciekaw.

Spotkali się w knajpie dwaj znajomi panowie i przy piwku zaczęli sobie opowiadać swoje bolączki, które przeżyli i cierpieli...

— Ja, proszę pana, myślałem wtedy, że tego nie przeżyję... Czy pan uwierzy? Trzymałem już nabity rewolwer przy skroni... Ale co będę gadał? Widzę, że to pana nie interesuje.

— Ależ przeciwnie! Jestem strasznie ciekaw, czy pan wtedy zastrzelił się, czy nie?

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Księgarnia J. Czerneckiego

Kraków Rynek 11. Kraków

poleca świeżo wydane

Stefana R. Reicharda:

Pomocnicze tablice i wskazówki do hodowli postępowej bydła rogatego dla praktyków, zestawione na mocy długoletniej pracy hodowlanej . . . . Zł. 5·—

Podręczniki techniczne popularne:

Cieśla	Zł. 3·—
Fryzjer	„ 2·50
Murarz	„ 2·50
Piekarz	„ 2·50
Podręcznik elektrotechniczny dla monterów i maszynistów .	„ 7·—
Pokostnik i lakiernik	„ 2·50
Ślusarz	„ 2·70
Szklarz	„ 2·50
Wyrób atramentów (tuszów, taśm kopjowych i t. d.) . .	„ 2·70
Wyrób mydła	„ 3·50
„ piwa	„ 3·—
„ pokostów malarskich i drukarskich	„ 2·70
„ smarów, szuwaksów i t. p.	„ 3·—
Asfalt naturalny w budownictwie	Zł. 3·—
Bawełna. Uprawa, zbiory, odziarnianie, klasyfikacja i handel	„ 1·50
Cholewkarstwo i szewstwo .	„ 3·50
Farbiarstwo (barwienie włókien, tkanin i ubrań)	„ 3·50
Garbarstwo	„ 3·50
Gorzelnictwo	„ 3·—
Materjały opałowe i wyrób brykietów	„ 2·70
Papa (dachowa, izolacyjna, cement drzewny	„ 3·—
Sucha destylacja drzewa . .	„ 2·70
Torpedy, torpedowce i łodzie podwodne	„ 2·—
Tytoń i jego uprawa	„ 1·—
Wiadomości o metalach . .	„ 2·70
Zastosowanie techniczne twarogu mlecznego (sernika) . .	„ 2·70

Podręczniki radjowe:

Burzyński, Podstawy radjotechniki	Zł 1·60
„ Anteny	„ 1·60
Boguszewski, 17 radjoodbiorników	„ 1·60
Burzyński, Odbiorniki kryształowe	„ 1·60
„ „ lampowe	„ 1·60
Burzyński, Cewki i kondensatory	„ 1·60
Jeżewski i Janik, Radjoodbiorniki lampowe	„ 5·—
Burzyński, Radjoencyklopedja .	„ 4·—
„ Mapa radjofoniczna .	„ 0·80

Bibljoteka higjeniczna:

Sabatowski, O gruźlicy . . .	„ 1·20
Łuczyński, Czy i jak można zapobiec chorobom serca .	„ 2·40
Krzemicki, O chorobach wenerycznych	„ 1·50
Niemczyński, Higjena mleka .	„ 1·50
Lenartowicz, Higjena skóry i włosów	Zł. 3·—
Nowicki, O chorobach zakaźnych	„ 2·—
Hilarowicz, Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach . .	„ 2·40
Progulski, Higjena niemowląt .	„ 1·80
Koskowski, O nikotynie i tytoniu	„ 1·20

Breyer Dr. Lekarz domowy .	Zł. 4·—
„ „ Wielki lekarz domowy	„ 6·—
Dobrzeński L. Poradnik weterynaryjny dla rolników . .	Zł. 6·40

Księgarnia poleca bogato zaopatrzone działy książek rolniczych, powieściowych, dla młodzieży, oraz naukowych z każdego działu wiedzy.

Katalogi na żądanie. **Wysyłka na prowincję odwrotną pocztą.**

Dogodne warunki dla czytelni i bibljotek sprzedaży.

Księgarnia J. Czerneckiego

Kraków Rynek 11. Kraków